Nr. 37. Warszawa, dnia 4 (16) Września 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: „Auf Wartegeld."—Tydzień polityczny. -ŻYCIE SPOŁECZNE: Co robić? I,—Kartka z dziejów włościan, II, p. W. F. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Przyczynki do prahistoryi Polski, IV, p. L. Krzywickiego — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. Rajczyca. — Przegląd teatralny, p. Andrzeja Niemojewskiego. -- SPRAWY EKONOMICZNE: Wystawa w Radomiu, I, p. Zen. Piet. — Wystawa wileńska, p. Napoleona Roubę. — Złoto, II, p. dr. J. B. Marchlewskiego. — W dali. — Kronika. — Ogłoszenia.

Od Redakcyi.

Przypominamy, że dnia 1 października upływa ostateczny termin nadsyłania utworów na nasz konkurs poetycki.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

„Auf Wartegeld."

Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Odrzucenie przez sejm pruski projektu kanału, mającego połączyć Ren z Elbą, dało rządowi pruskiemu pochop do wewnętrznego wzmocnienia się przez zaprowadzenie surowej nad urzędnikami karności. W nieprzyjaznem głosowaniu odezwało się wiele głosów urzędniczych; rząd je usłyszał. Z jednej sprawy, przez odrzucenie jeszcze ostatecznie niezałatwionej, zrobił dwie: policzy się jeszcze z sejmem, a teraz już do rachunku pociągnął stan urzędniczy, z którego wyszły owe głosy, wręcz jego projektowi nieprzyjazne. Urzędnik, według pojęć pruskich, nie organ funkcyi państwowej, ale sługa rządu, oparł się woli swego pana; pan chciał kanału, sługa go nie chce: krnąbrność wyraźna. Ukrócenie jej zapowiedział d. 29 z. m., przy odroczeniu sejmu, ks. Hohenlohe; wykonywa z surowością o wiele przewyższającą zapowiedź sam król, cesarz Wilhelm.

Ojcowski kij, wystrugany jeszcze przez Fryderyka Wilhelma I, pozwala dziatki, wpadłe do biurokratycznego roju, karcić zawieszeniem w czynnościach i zatrzymaniem im pensyi. Cały ten instytut karalności krnąbrnych, niedołężnych lub niedbałych nosi od pieniędzy brzęczących w pensyi nazwę *wartegeld* — nie grzeszącą chyba nadmiarem szlachetności. Z tego instytutu prawa administracyjnego cesarz Wilhelm czyni teraz użytek wcale hojny, zastosowany do ogromnych rozmiarów tych form logicznych i psychicznych, w które jego natura i charakter wtłaczają gwałtem jego myśli, marzenia, uczucia i żądze, choćby w przedmiotach najprostszych i najskromniejszych. Nikt z głosujących w Izbie pruskiej przeciwko kanałowi, a tem samem przeciwko rządowi, nie wyjdzie cało; raz wzięta do rąk grzebaczka powygrzebuje i wielu takich, którzy wcale do sejmu nie należą, ani *za*, ani *przeciw* głosować nie mogą, ale po za sejmem na urzędach swoich nie są dość wiernymi tłomaczami myśli i dążeń rządowych, a może nawet i przeciwnikami się okazują.

Oddalenie ze służby ministrów von Bossego i von der Reckego, wzbronienie wstępu na dwór Limburg-Stirumowi, upatrzenie wielu urzędników i nawet dostojników dworskich na ofiary niezłomnej woli centralnej, dowodzą całej płomienności gniewu, jakim zapałał król, dostrzegłszy taką niekarność w swej armii cywilnej. Prawdopodobnie w wydziale oświaty i w wydziale spraw wewnętrznych najwięcej było zuchwalstwa, było go tyle, że król za podwładnych nie wahał się odpowiedzialnością przytłoczyć zwierzchników. Ci albo z pod tej odpowiedzialności wypełznąć usiłowali, w żywe oczy zaprzeczając swej winy, i za to przeszli w błogi stan spoczynku, albo też z pokorą, dość skruszoną, aby nią zarówno winę, jak niewinność posypać można— sami podziękowali za służbę. Może krnąbrność rozłożyła się równomiernie między wszystkie wydziały służby rządowej, a więc minister sprawiedliwości miał przed sobą taki sam pojazd, jak i jego dwaj koledzy; ale tu i podwładnych i zwierzchników broniła niepodległość stanu sędziowskiego, *wartegeld* mogłoby spaść tylko na jakiegoś urzędnika kancelaryjnego, jakiegoś pisarza, asesora: nie byłoby ani zadowolenia, ani odstraszającego przykładu. Ocalał więc p. Pflugstädt i nie słychać o zawieszeniu urzędników wydziału sprawiedliwości, choć pewno właśnie z tej okolicy roju biurokratycznego najwięcej wychodzi głosów, czy to w sejmie, czy po za sejmem, nietrzymających się zasady: rząd myśli za wszystkich.

Dyscyplina, oczywiście, musiała wywołać skutek zły, nieodłączny od pożytku, jaki przynosi. Na jednych plecach okazała się sprawną, inne przed nią uciekają, dla innych wreszcie widok jej, choć sami osobiście lękać go się nie potrzebują, jest tak wstrętnym, że chętnie dobrodziejstw władzy się zrzekają, aby tylko z ciała, które ją sprawuje, się wydobyć. Do tej kategoryi należy p. Wilamowitz-Möllendorff, nadprezydent poznański. W Poznańskiem najwyżej sięgnęło ramię karzące, czy to wprost, czy ubocznie; bo oprócz p. Möllendorffa, jeszcze p. Jagov, prezydent regencyi, ma otrzymać dymisyę. I rzecz szczególna, owi dwaj ministrowie, którzy tak wybornie lecieli tropem wytkniętym w mowie toruńskiej cesarza Wilhelma z r. 1894 (22 września), oni właśnie runęli odrazu od zawieruchy gniewu królewskiego. Nic nie zaważyły ich zasługi w walce z nienawidzonym śmiertelnie żywiołem, nic hakatyzowanie władz publicznych, które obaj ci mężowie tak systematycznie przeprowadzali: wicher ich zmiótł. Nota *Reichsan-*

zeigera z początku września domawia to, czego nie powiedział kanclerz w sejmie. Jeżeli ministrowie rzeczywiście w sprawie głosowania niewinni, w sprawie germanizacyi tak zasłużeni — a przytem zachowawcy do szpiku kości, więc mili rządowi, dostali przed innymi odprawę — zaczyna się w Prusiech wzmacnianie rządu przez kiełznanie umysłów – systemat nie nowy, ale z nowym rozpędem stosowany.

Największe nawet jego powodzenie nie rozwiąże przecież sprawy radykalnie. Rozwiązać ją może tylko konstytucya. Niech cesarz Wilhelm albo pozbawi urzędników biernego prawa wyborów, tj. nie pozwoli im wchodzić do sejmu, albo też utrzymując to prawo nadal, niech wprowadzi do konstytucyi artykuł: „urzędnicy nie głosują nad projektami rządowymi.“ Radykalnem, rzecz prosta, będzie tylko pierwsze rozwiązanie; drugie zostawi jeszcze rozległe pole nadużyciom: nad projektami nierządowymi będzie mógł urzędnik rozprawiać w duchu nierządowym. Potrzeba zatem radykalnego przepisu: urzędnik może mowić tylko tak, jak przemawia rząd i głosować tylko tak, jak chce rząd. To byłoby dopiero radykalnem a zgodnem z interesami rządu. Na usunięcie urzędników z sejmu — na taką krzywdę — nigdyby się nie zgodził. Wogóle cała konstytucya z 31 stycznia 1850 r. jest tak doskonałą, że wymaga tylko wskazanej wyżej poprawki, aby rząd był już doskonale z niej zadowolony: a o to tylko chodzi.

Tydzień polityczny. Sąd w Rennes d. 7 b. m. ukończył badanie świadków, przesłuchawszy jeszcze senatora Trarieux, niejakiego Savignat, z towarzyszeniem stałego oskarżyciela, Merciera, urzędnika spr. zagranicznych Paleologue a, urzędnika policyjnego Cocheforta i wreszcie Paty du Clama który przed sądem stanął w protokóle, ściągniętym w Paryżu przez wysłańca sądu. Zaraz po zamknięciu badań powstał komisarz rządowy, pełniący funkcye prokuratora, Carriere: wniósł skazanie. Nazajutrz Demange wystąpił z obroną. Zajęła ona cały dzień 8-y i część 9-go września; była nadzwyczaj szczegółowa, długa i zbyteczna, sąd bowiem, jak się okazuje, już kończąc śledztwo w postępowaniu jawnem, miał wyrobioną w sobie większość za skazaniem: pięciu przeciwko dwóm. Trzeci głos, zrazu skłonny do uniewinnienia, złamał się pod naciskiem czterech, które sprawę rozstrzygnęły już przed jej wytoczeniem: gdyby był wytrwał, Dreyfus nie mógłby być skazanym, skorzystałby z wątpliwości winy. Wyrok, przy uwzględnieniu okoliczności łagodzących, zapadł popołudniu ok. godz. 5-ej d. 9 b. m. — na dziesięć lat ciężkiego więzienia oczywiście z potrąceniem czasu, który Dreyfus już wysiedział na Czarciej wyspie. Termin apelacyjny bezskutecznie już minął; zostaje jeszcze termin do kasacyi. Rodzina, obrońcy i zwolennicy niewinności mają nadzieję ułaskawienia: dlatego do d. 12 b. m. nie podpisał jeszcze Dreyfus podania kasacyjnego zapewne jednak na tem się skończy, ułaskawienie bowiem nagorąco po wyroku byłoby wobec zapalczywości przeciwników hazardem, wyższym nad odwagę Loubeta i Waldecka-Rousseau.

Jeżeli ani kasacya, ani łaska nie wstrzymają skuteczności wyroku zapadłego w Rennes, skazany ma być osadzonym na Elbie.

Przed wyrokiem *Reichsanzeiger* zamieścił niezwykle stanowczą w stylizacyach urzędowych notę, że nigdy rząd niemiecki nie miał stosunków z Dreyfusem. Wyrok zatem wygląda jak zadanie kłamu potężnemu sąsiadowi: w poselstwie to bowiem niemieckiem, na podłodze, miało być znalezionem owo *bordereau*, którego pismo istotnie podobniejszem jest do pisma Dreyfusa, niż Esterhazego. Rząd niemiecki puszczenie Schwarzkoppena do Rennes uznał za niestosowne, ale włoski gotów był już puścić Panizzardiego: sąd go nie wezwał.

Zapalczywości, o której wyżej, dowodzą nieprzyjazne okrzyki, wyrzucane z tłumów w Rennes na dwóch sędziów skazaniu przeciwnych, podczas powrotu ich z posiedzenia sądowego. W całej Francyi i w *toute la France*, Paryżu, wrażenie wyroku zawiodło przewidywania burzy: nigdzie nie naruszono spokojności i bezpieczeństwa publicznego. Stało się jak zaklął Freycinet w sądzie. Zbyteczną okazała się próba odczytania wyroku, zbytecznymi żandarmi nadzwyczajni w sali posiedzeń, zbytecznem wojsko na ulicach w Rennes i kampania ostrożności w Paryżu: nikt nie drgnął. Tylko w dziennikarstwie zahuczało znowu. Zola w *Aurore* zapowiada walkę do upadłego: krew nawet przeleje za prawdę. Gdyby ją tylko mógł mieć na swym ołtarzu!

Niemcy odgrażają się, że na wystawę r. 1900 żaden z nich nie pojedzie.

Guerina rząd francuski do poddania się jeszcze nie zmusił: będzie go musiał wziąć szturmem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Co robić?

I.

Mieszkamy w kraju, który posiada olbrzymie i nieprzebrane zasoby paliwa. Nasze kopalnie węgla należą do pierwszorzędnych w Europie, a eksploatacya ich, w rękach kilku potężnych towarzystw, zapełnia nietylko rynki krajowe, lecz i dalekie po za ich granicami. Posiadamy dość już gęstą sieć kolei żelaznych, które szybko i łatwo mogą rozwozić węgiel. Zdawałoby się, że w takich warunkach produkt ten musi być dostępnym dla każdego nędzarza. A jednak w rzeczywistości tak nie jest. Dla setek tysięcy ludzi jest on niemal zbytkiem. Składają się na to bardzo znamienne warunki urządzeń ekonomicznych i społecznych. Węgiel jest przedmiotem, dającym znaczne zyski nietylko przedsiębiorcom, lecz i pośrednikom, którzy się usadowili w miastach jako hurtownicy, utrzymujący składy węgla. Przed kilku laty drożyzna jego, wytworzona przez takie warunki ekonomiczne, stała się dotkliwą klęską dla mas. Obecnie przed jesienią i zimą zapowiada się ona znowu w całej pełni. Drożyzna tego pierwszorzędnego produktu, którego rola nie ustępuje znaczeniu artykułów żywności — stała się widmem, trapiącem całe masy. Klęski tej nie zażegnano przed kilku laty, pomimo ankiet wszelakich: niema również nadziei, żeby i obecnie można było skutecznie jej zapobiedz za pomocą środków doraźnych.

Przedewszystkiem zobaczmy, jak ta sprawa wygląda w cyfrach, zebranych przez p. Przeworskiego na szpaltach *Gazety handlowej*:

„Fabryki nasze w latach poprzedzających płaciły za węgiel ceny następujące: za drobny z kopalni Mortimer, Rudolf i Saturn 17—19 kop. za korzec w latach 1894—95, w następnym po 20¼ kop.; za gruby z kopalni Rudolf i Mortimer 31 k. w 1894—97. Tymczasem już na wiosnę r. b. kopalnie powyższe producentom bezpośrednio wcale nie sprzedają węgli. Zaszła więc potrzeba prowidowania się w węgiel kopalni Rudolf i Milowice u składnika hurtowego, który oznaczył cenę za orzech nr. 1 kop. 41, a za orzech nr. 2 kop. 43½, gdy te gatunki węgla są o 2—3 rb. na wagonie tańsze od węgla grubego (płaconego, jak wyżej zaznaczono, po 31 kop.). Dodajmy, że za orzeszek z kopalni Rudolf w r. 1896 płacono 11 k. za korzec, gdy obecnie nawet za 85 kop. nabyć go nie można. Od września r. b. kopalnie ustanowiły cenę na węgiel drobny 40 kop., a na gruby 50 k., co, jak widzimy, stanowi 60—100% zwyżki. Na domiar złego i po tych cenach kopalnie umów na 500—1,000 wagonów z producentami zawierać nie chcą.

Cyfry te są dość wymowne, aby przekonać, w jakiem położeniu ze względu na potrzebę opału znalazły się fabryki krajowe. Mamy dwa zarówno opłakane zjawiska: w dwójnasób prawie podniesione ceny i w dodatku niemożność zabezpieczenia sobie opału, choćby po tych wysokich cenach. To też, jak nam wiadomo, niektóre fabryki cukru nie posiadają już dostatecznej ilości węgla na potrzeby najbliższej kampanii.“

Zaznaczyć jeszcze należy, iż kopalnie nasze wytwarzają rocznie około 230 milionów pudów węgla, których wartość na miejscu wynosi 10 milionów rubli, a więc pięć towarzystw, obejmujących prawie 90% całej produkcyi węgla w Królestwie Polskiem, ciągnie olbrzymie, lichwiarskie zyski.

Przedsiębrane ankiety przyniosły przynajmniej ten pożytek, że wykryły istnienie zmowy. Tak np. w r. 1897 przedsiębiorcy uchwalili ograniczenie dowozu węgla na stacyę towarową w Warszawie kolei Wiedenskiej, celem podniesienia ceny tego produktu do wysokości 100 rb. za wagon. Tym sposobem kilku spekulantów mogło wyzyskiwać bezkarnie i dowolnie wszystkich mieszkańców Warszawy.

Nie dość na tem: „Złośliwi utrzymują – pisze oględnie p. Przeworski — że pomiędzy kopalniami istnieje konwencya, normująca wytwórczość w stosunku do z góry dość skromnie obliczonego spożycia.“ Oczywiście przedsiębiorcy usiłują ukryć w wielkiej tajemnicy tę zmowę i powołują się na brak sił roboczych, czego w rzeczywistości niema wcale. Starano się również monopol ten upozorować brakiem węglarek. Pomimo jednak, iż koleje Wiedeńska i Dąbrowska zwiększyły siłę przewozową, ceny węgla pozostały jak dawniej wysokie.

Co robić na to? P. Przeworski doradza taką drogę wyjścia: Odwołać się do ministra skarbu o uwzględnienie tak trudnego stanu rzeczy i uchylenie lub przynajmniej obniżenie, na czas pewien, cła od węgla zagranicznego. „Cło to wynosi dziś 1½ kop. od puda czyli 9,50 rb. od wagonu (10,000 kilogr.). Obecnie kalkuluje się węgiel szląski bez cła około 42 kop. za korzec marek najprzedniejszych, jak „Konigshütte“ i „Karolinengruben,“ tj. tyle, ile węgiel dąbrowski kosztował na wiosnę, gdy na przyszłość (od września) kosztować ma 50 kop. Widzimy więc, że przez uchylenie cła producenci zyskaliby tylko tę różnicę, którą ostatnia zwyżka wynosi,

a kopalnie ewentualne utraciłyby tylko korzyść tej nowej podwyżki."

Ale oto znalazła się opozycya, która zawsze występuje, gdy chodzi o nietykalność dywidendy kapitalistów. Żarliwym członkiem lewicy jest zawsze w takich razach p. Dawid Rosenblum, bankier, motor giełdowy i poważny akcyonaryusz wielkich przedsiębiorstw. Ma on swoją ekonomię praktyczną, która chociaż nie zawsze idzie drogami logiki, nie zawsze bywa zgodna z zasadniczemi prawami życia i warunkami bytu, odznacza się jednak tą osobliwością, że jest niesłychanie śmiałą. Przed paru miesiącami p. Rosenblum próbował zbratać wytwórców rolnych z handlarzami, wmawiał, że mają oni wspólne drogi i cele, a nawet posunął się tak dalece, że kredytowi dla rolników odmawiał racyi bytu, gdyż pomoc taka wytwarza niezaradność i osłabienie energii! Obecnie, posługując się podobnemi teoryami ekonomicznemi, wystąpił przeciwko wnioskowi wprowadzenia do nas węgla obcego, gdyż „zmniejszyłyby się tylko dochody celne, spożywcy nieby nie oszczędzili: jedynie nasi sąsiedzi niemieccy zagarnęliby cały zysk, bo skoro tylko cło zniesiemy, Szląsk w tym samym stosunku ceny podniesie i zagarnie to, co chcielibyśmy sobie zaoszczędzić." Dalej gorący rzecznik wielkich przedsiębiorców odwołuje się do poczucia obywatelskiego ogółu mieszkańców: „Czy zastanawiano się nad tem, że może dawniejsze ceny były zbyt nizkie, a tem samem obecna podwyżka jest tylko korektywą? Czy pomyślano nad tem, że zniżenie do połowy, tj. do teraźniejszej stawki cła od węgli przy zawarciu traktatu handlowego z Niemcami może zatamowało rozwój kopalni krajowych?"

KARTKA Z DZIEJÓW WŁOŚCIAN.

II

Metternich spostrzegł się, że dalej jak dotąd iść nie może i postanowił sprawę pańszczyzny „uregulować." Jeszcze wśród gorączki rzezi wydał kilka postanowień, skierowanych przeciw dworom i polecił lwowskiemu „gubernium," żeby się zastanowiło nad sprawą oczynszowania włościan. Szlachta stała na straży swych interesów twardo i wniosła do rządu memoryał, w którym zaznaczając potrzebę usunięcia pańszczyzny, żądała, ażeby się to nie stało kosztem ruiny dziedziców, ażeby koszta tej zmiany ponieśli sami włościanie; w dodatku wymagała, aby wszyscy urzędnicy, którzy wywołali rzeź, byli pociągnięci do odpowiedzialności. Gubernator Stadion 107 autorom tego memoryału udzielił surowej nagany.

W r. 1846 i następnym rząd nie zwołał sejmu stanowego, dygnitarze za to gubernialni sami nad dobrem włościan radzili. Podług obliczenia szlachty wynosiła wartość wszystkich pańszczyźnianych robót i danin około 6 milionów złr.; potrącając koszta administracyi, wartość pastwisk, paliwa, zapomóg i podatków, płaconych przez dziedziców — doszło się prawie do połowy tej sumy. Na podstawie tego rachunku, oraz tymczasowego katastru podatkowego, gubernator Stadion miał zamiar pańszczyznę „uregulować" w ten sposób, aby usunąć wszelkie nadużycia i okroić dochód dziedziców o $^{3}/_{4}$ miliona. Byłaby to więc mała reforma, bynajmniej nie rewolucya; mimo to podniósł się przeciw niej krzyk niemały. Gubernator prosił o dymisyę; miejsce jego zajął brat. hr. Franciszek Stadion. Targi o skórę chłopską znowu się zaczęły.

Koniec położył im rok 1848. W styczniu pisał Metternich, że nigdy jeszcze rok nie rozpoczął się tak cicho i spokojnie, nigdy „porządek społeczny" nie stał tak twardo i mocno, jak teraz: w marcu porządek ów runął, a główny jego mistrz, wszechwładny kanclerz, w przebraniu żebraka uciekł do Anglii. Za Wiedniem powstał ruch w Krakowie i Lwowie. Już 18 marca we Lwowie wystosowano do cesarza Ferdynanda adres z rozmaitemi żądaniami, między którymi jednem z najważniejszych jest całkowite zniesienie pańszczyzny i wszystkich powinności poddańczych. Przeważna część szlachty z wprowadzeniem tej zasady w życie wcale się nie spieszyła. Wszakże rząd wiedeński zatrwożył się niemało. Jedynym jego punktem oparcia w całej Galicyi był chłop, ten chłop, który przed dwoma laty pomógł tak skutecznie zdławić wszelkie mrzonki. Nuż tedy stawiać przeszkody wszelkim dążeniom do poprawy doli chłopskiej. Dnia 5 kwietnia wydano postanowienie, utrudniające darowanie pańszczyzny, równocześnie polecił aresztować wszystkich „buntujących" lud obietnicą zniesienia pańszczyzny lub skłaniających do tego kroku dziedziców. Pod rosnącą grozą chwili zdobył się rząd nareszcie na krok radykalny: d. 16 kwietnia 1848 r. wydał ces. Ferdynand manifest, ogłaszający zniesienie w całej Galicyi robocizn i innych powinności poddańczych!

Był to krok o niezmiernej doniosłości historycznej i ekonomicznej. Dnia 15 maja 1848 ustały w całym kraju roboty pańszczyźniane; właścicielom dotychczasowym przyznano odszkodowanie ze skarbu państwa. Urzędnicy cyrkularni rozjechali się po wioskach, niosąc ludowi w imieniu cesarza austryackiego radosną nowinę i wzywając do wdzięczności. Jakoż zaraz w pierwszym parlamencie austryackim, który się zebrał tego roku, posłowie-chłopi skupili się około biurokracyi przeciw partyi polskiej: lud długo jeszcze potem uważał się za „cesarskie dzieci..."

To najważniejszy skutek zniesienia pańszczyzny przez rząd austryacki — pod względem politycznym.

Pod względem ekonomicznym skutki były niemniej doniosłe. Przewrót, podyktowany rządowi wiedeńskiemu spekulacyą polityczną, nastąpił tak nagle i gwałtownie, że nie było czasu na sumienne, gruntowne uporządkowanie wszystkich wynikających zeń stosunków. Stempel doryweczości, tymczasowości był też wyciśnięty na całej reformie. Nie wyszło to na korzyść ani włościanom, ani szlachcie, ani też krajowi.

Na włościan reforma nałożyła ogromne ciężary, większe, niż w którejkolwiek innej prowincyi austryackiej. Przy rozłożeniu podatku indemnizacyjnego dla odszkodowania dziedziców — chłop galicyjski ponosił trzy razy większe ciężary od zamożnego włościanina z pod Wiednia, a blizko pięć razy większe—od czeskiego. Z wysokiego tego odszkodowania niewielką też korzyść miała szlachta: rząd wydał jej obligacye indemnizacyjne, ale przez siedem lat nie na nie nie wypłacał, faktycznie więc przedstawiały bardzo niepewną wartość i większa ich część została zabczcen zakupiona przez kapitalistów zagranicznych. W całości przyznał był rząd indemnizacyę dla Galicyi w kwocie 79,140,225 złr. Suma ta miała być wypłacana 3,238 byłym właścicielom szlacheckim, 764 funduszom kościelnym, 83 funduszom korporacyjnym. Skutkiem zawieszania wypłaty indemnizacyjnej suma powyższa znacznie wzrosła, obciążając kraj jeszcze bardziej. Dzięki bowiem prawdziwie austryackiej gospodarce — ciężar wykupu pańszczyzny, pierwotnie wyraźnie objęty przez państwo, został przerzucony na kraj, a ten się pod nim *do dziś* ugina; spłata długu indemnizacyjnego Galicyi skończy się dopiero w r. 1908.

Dalszym wynikiem owego doryweczego, spekulacyą dyktowanego zniesienia pańszczyzny, była sprawa serwitutowa. Rząd jej nie rozwiązał ogólną normą ustawową, zostawiając rozstrzyganie poszczególnych sporów między byłymi właścicielami a włościanami — urzędnikom *politycznym*. Dopóki ci ostatni składali się z Niemców i Czechów, narzędzi biurokracyi wiedeńskiej, rozstrzygali spory prawie zawsze na korzyść chłopów; od r. 1860 (era Gołuchowskiego) zyskały w administracyi przewagę żywioły szlacheckie, i chłopi zaczęli na całej linii procesy przegrywać. Z 32,000 spraw serwitutowych — chłopi przegrali 30,000. Działy się przytem krzywdy wołające o pomstę, nadużycia niesłychane, które dr. Franko ilustruje, przytaczając list jednego z członków komisyi serwitutowej, wystosowany do posiadaczy dóbr całego okręgu z zaofiarowaniem usług.. za należytą zapłatą. Szczególnie w Galicyi wschodniej powstały stąd między dworem a chatą przepaście niezgody, ziejące dotychczas nienawiścią i znanem hasłem chłopów rusińskich: lisy i pasowyska! Wreszcie znosząc pańszczyznę, nie zniósł rząd jednego z najważniejszych przywilejów szlacheckich: prawa propinacyi, które zostało dopiero za Dunajewskiego „wykupione" za sumę 65 milionów, obciążając ludność na korzyść jednej kasty i dając powód do nowych nadużyć: gdyż dawniejsi właściciele propinacyi mają ją w swych rękach nadal, jako dzierżawcy, wykonywanie swego prawa poddzierżawiając za wysokie pieniądze arendarzom-Żydom...

Dla historyka niema jednak nic wdzięczniejszego nad przedstawienie nagich faktów. Dr. Franko wolał atoli trzymać się innej metody: od początku do końca pisał piórem, umaczanem w żółci. Dzieła więc naukowego nie dał.

Uderza w nim okoliczność, iż autor nie wzniósł się na stanowisko socyologiczne. Historyę pojmuje jako wyliczanie szeregu wypadków, a nie usiłuje szukać pomiędzy nimi związku. Sprawę pańszczyzny traktuje więc przez cały czas, jako sprawę dobrej woli jednostek, przeoczając, że po za niemi działały czynniki znacznie potężniejsze: stany i ewolucye ogólno-gospodarcze. W połowie bieżącego wieku dokonał się w Austryi wschodniej zwrot od gospodarki materyalnej do pieniężno-wymiennej, zwrot, wywołany zaprowadzeniem komunikacyi kolejowej, podniesieniem miast itd. Pańszczyzna tedy, jako podstawa gospodarstwa naturalnego, przeżyła się, stała się ekonomicznym anachronizmem i ciężarem. Ten powód, a nie ideologiczny, był u większości szlachty decydujący i on to w r. 1846 podyktował 107 dziedzicom, autorom powołanego przez Frankę memoryału do Stadiona, owe znamienne słowa (str. 73): „Dawno my już uważamy za potrzebną zmianę, któraby położyła koniec straszliwemu marnowaniu czasu i sił roboczych, jakie ma miejsce dzisiaj ze szkodą dla stron obu." Oczywiście wobec wyłaniających się nowych form produkcyi i wymiany, stare, patryarchalne były tylko marnowaniem sił i czasu.

Więcej już ten brak uderza w książce dr. Franki nadmiar tendencyjności. Nicią jej przewodnią jest zasada, że wrogiem włościan był *cały* naród polski, a opiekunem — rząd i biurokracya Austryi.

Pomijam tu część pierwszą książki o pańszczyźnie za czasów byłej rzeczypospolitej; schematyczna ona i historyk niejedno w niej obali. Mamy jednak przed sobą obraz dziejów pańszczyzny *w Galicyi*. Jak-

że on się przedstawia w rzeczywistości? O szczerem sympatyzowaniu z ludem, o humanitaryzmie takiego Metternicha, który był duszą rządu centralnego za najcięższych czasów pańszczyzny — mówić chyba nie warto; uczuciami temi nie odznaczała się także biurokracya krajowa, owa zbieranina z pod różnych ciemnych gwiazd, owe wybierki z Czech i Niemiec, które rządziły ludem, nie znając nawet jego języka. Natomiast kierował wszystkimi tymi czynnikami wzgląd inny, wszystkim wspólny: interes państwowy. A ten nakazywał politykę: *divide et impera*. Polityka ta wyraziła się w dwóch kierunkach: rząd czynił szlachtę odpowiedzialną za rekruta i podatki poddanych, następnie czynił z każdej sprawy ekonomicznej polityczną i odpowiedniej przekazywał je jurysdykcyi. Kość niezgody była więc rzucona— na zawsze.

Polityce tej sprzyjał oczywiście w najwyższym stopniu charakter szlachty, wybujały na fermentach „złotej wolności," zepsuty tak dalece, że sześćdziesiąt lat pierwszych dziejów Galicyi — to jeden obraz wyjałowienia umysłowego i rozpaczy moralnej. Ale po upływie tego czasu pojawiają się inne prądy, inni ludzie. Dr. Franko poświęcił „polskim głosom o pańszczyźnie od r. 1831—1845" cały rozdział: dziwna jednak rzecz: do polskich głosów nie zalicza wszystkich tych pism demokratycznych, które w owym czasie zjawiały się dziesiątkami, pełne gorącej egzaltacyi, ideałów wszechludzkich, misyi apostolskiej. Lelewel i Wencel, Heltman i Kamieński itd. — wszyscy oni dla autora nie istnieją; o organizacyach demokratycznych we Lwowie i Krakowie mówi z przekąsem; działaczy, prześladowanych przez rząd austryacki z całą srogością — szubienicą, torturą i dziesiątkiem lat więzienia, nazywa „paniczami" i z zadowoleniem opowiada, jak chłop, po wysłuchaniu ich głosów, „po dawnemu szedł do niemca-urzędnika szukać opieki i sprawiedliwości..." Gdy zaś sprawiedliwość tych Niemców zabarwiła się krwią, gdy biurokraci działalność swą polityczną uwieńczyli rzezią 1846 r.— dr. Franko nie znajduje dla nich ani słowa bodaj najłagodniejszej krytyki. A pisał swą książkę — dla ludu!

W świetle tej tendencyi potwornie oczywiście wygląda obraz usiłowań ówczesnej szlachty galicyjskiej. Nikt nie będzie stał w obronie jej nadużyć, ciągnących się nieprzerwanym łańcuchem od czasu „królewiąt" do dziś dnia, ale historyk nie może zasłanić i dodatniejszych, choć wyjątkowych, podyktowanych surową koniecznością faktów. A faktem jest, iż patent cesarza Ferdynanda, znoszący pańszczyznę, podaje jako jeden z głównych motywów, że „w różnych częściach kraju oświadczyli posiadacze dóbr, że chcą swoim poddanym powinność pańszczyźnianą darować bezpłatnie."

W. F.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dreyfusowskie błoto.

Z wszystkich bogiń, jakie przebywają w Olimpie europejskim, najmniej rozumiem boginię sprawiedliwości. Jest to bowiem jakaś historyczka, kierująca się najdziwaczniejszymi kaprysami i całkiem nieobliczona w swych sądach. Wtedy, kiedy według wszelkich zasad rozumu, pożytku, bezpieczeństwa czy słuszności powinnaby kogoś posłać pod pręgierz lub na szubienicę, ona go obmywa z grzechów, wieńczy wawrzynem lub przyprawia anielskie skrzydła. Stary Pascal drwił z etyki, śmiejąc się: co mi to za kodeks, który z jednej strony rzeki uważa ten sam czyn za dobry, a z drugiej — za zły. Nie byłaby to jeszcze ostateczna bieda: bo na dwu brzegach rzeki mogą mieszkać dwa odmienne narody, które rządzą się sprzecznemi zasadami moralności. Ale gorsza sprawa, gdy w jednym narodzie zachodzą takie różnice. Europa ciągle powtarza, że posiada wspólną etykę. Gdyby ktoś zawiesił nade mną miecz Damoklesa na najcieńszym z włosków i obiecał mnie uwolnić od niego tylko pod tym warunkiem, że wyliczę wszystkie reguły tego kanonu powszechnie wyznawane i stosowane, nie na całym obszarze cywilizowanego świata, ale w najmniejszym zakątku, odrzekłbym: niech miecz spadnie — nie podołam.

Dlatego też gdybym nawet był przekonany, że sąd w Rennes zbadał całe tajemne *dossier* we wszystkich jego przegródkach i skrytkach, że najściślej odróżnił prawdę od kłamstwa w zeznaniach świadków, że nawskroś przejrzał sumienie Dreyfusa, nie umiałbym przewidzieć, jaki wyda wyrok. Licho wiedziało: może winnego uwolni, a niewinnego potępi! Bo skoro sąd ten rozstrzygał sprawę śród jakiegoś piekielnego wrzasku czarnych duchów, skoro ci krzyczeli, ażeby skazaniem oskarżonego ocalić honor armii, tamci — ażeby napiętnować Żydów, inni — ażeby zabezpieczyć społeczeństwo od wstrząśnień, skoro na szale historycznej Temidy rzucano interesy sztabu generalnego, antisemityzmu, nacyonalizmu, skoro te szumowiny zalewały trybunał nietylko wszystkimi kanałami Francyi, ale gwałtownymi wytryskami spadały z zagranicy — gdzie tu było miejsce dla sponiewieranej, obryzganej, podeptanej sprawiedliwości? Mogła ona zwyciężyć chyba tylko przypadkiem.

Czy zwyciężyła — nie wiem. Wiem tylko, że gdybym był sędzią, to albo wraz z Dreyfusem zgarnąłbym do kryminału Mercierów, Gonse'ów, Paty du Clamów, całą szajkę zdrajców, szachrajów, fałszerzy, krzywoprzysięzców, albo bym jego i wszystkich tych opryszków uwolnił, nie mogąc dokładnie oznaczyć stopnia ich winy. Wiem także, że Dreyfus swojem zachowaniem się nie wzbudził we mnie tego współczucia, jakie dla niego miałem przed procesem. Poprostu nie jestem w stanie wyobrazić sobie, ażebym przez nikczemność shańbiony, przez niecną intrygę skazany na sromotną karę, stanąwszy po raz drugi przed sądem, który miał naprawić omyłkę i odwołać okrucieństwo, mógł tłomaczyć się, spierać ze świadkami, prostować ich kłamstwa i zapomnienia. Ja bym poprostu powiedział: „Jestem tu jako niezdławiony wyrzut sumienia narodu, jako ofiara występku wtłoczonego w prawo, jako męczennik za czyny, których nie popełniłem, a które przewrotność łotrów sztucznie do mnie przyczepiła — starajcie się panowie, o ile będziecie umieli, zetrzeć ze społeczeństwa tę krwawą plamę, a z jego przedstawicieli tę zbrodnię." Krzywda moja miałaby wtedy tak wielki majestat, że wszelka z mojej strony obrona byłaby dla niej zniewagą. Tymczasem Dreyfus zachowywał się tak, jak gdyby nie był męczennikiem, ale swoim adwokatem. Ten wszakże mój pogląd jest czysto osobistym, który ani nie obowiązuje ludzi z inną naturą, ani nie stanowi pewnego probierza dla rozpoznania winy i niewinności. Zresztą— jak rzekłem — nie chodzi mi o unieważnienie lub potwierdzenie wyroku, wydanego w Rennes, lecz o uboczne objawy, zrodzone na gruncie tego procesu.

W naszych i zagranicznych pismach wielokrotnie karcono zbyteczne zajęcie się tą sprawą, a może najenergiczniej piorunowali ci, którzy najskwapliwiej drukowali lub czytali wszelkie wysnuwające się z niej szczegóły. Co do mnie, byłem bardzo zadowolony tem niebywałem zainteresowaniem się losami skazańca z Czarciej wyspy. Są bowiem wypadki, które na podobieństwo owych lekarskich maści, wyrzucających na skórę zakażenia krwi, wydobywają pryszcze głęboko ukrytych w organizmie ludzkości chorób. Taką maścią była sprawa Dreyfusa. Wyprowadziła ona z ciała Europy na wierzch prawie wszystko, co było w niem zgniłego, wszelkie bakterye i zarazki, które niewidzialnie je toczą. Rzec można, że każde społeczeństwo, każde stronnictwo, każda jednostka odbiły się w niej jak w najwierniejszem zwierciadle.

Czy oficer francuski zdradzał obcym mocarstwom wojskowe tajemnice swego rządu? Zdawałoby się, że taka kwestya nie może być ani europejską, ani wszechświatową i posiada znaczenie wyłącznie miejscowe. Co ona, co jej nieszczęsny bohater obchodzi Duńczyków, Polaków, Serbów? A przecież widzieliśmy, jak u nas, niezczepionych z nią nawet pośrednio żadnym powodem, zagryzano się w rozmowach prywatnych i artykułach dziennikarskich o tę kość niezgody. Jedni na domysł bronili zawzięcie skazańca, drudzy tak go szarpali, bezcześcili, znęcali się nad nim, jak gdyby co najmniej uknuł spisek przeciw własnemu ich dobru. Był to dla nich „łotr, przyłapany na gorącym uczynku," „Judasz," a najczęściej i przedewszystkiem podły „żydek, który handlował tajemnicami wojskowemi." Gdybyśmy ujrzeli gromadkę chłopców, urągających zbrodniarzowi prowadzonemu w kajdanach do więzienia, poczulibyśmy odrazę wobec tego widoku, gdyż kara wyłącza pastwienie się. Tymczasem podobne widowiska urządzano w naszej prasie z nieprzekonanym Dreyfusem ku serdecznej uciesze wielu czytelników. Co podsycało tę dzikość aktorów i widzów? Głównie antisemityzm, a po części taktyka żab, podnoszących nogi podczas kucia koni. Pewnym żywiołom społecznym zdawało się — jak często się zdaje — że powinny okazywać bezwzględną solidarność z podobnymi do nich pierwiastkami w innych społeczeństwach.

Naturalnie wytworzyliśmy tylko miniaturę tego ohydnego obrazu, który się odmalował we Francyi i uczynił z niej prawdziwą Czarcią wyspę. Tam rozgrywał się istny sabat czarownic. Takiego wrzodu chyba nigdy świat nie oglądał — i to wrzodu, który nie został ani wycięty, ani zagojony. Dowodzę oddawna, że Francya jest niebezpiecznie chora, że jest zwyrodniała; proces Dreyfusa stanowi nowy i bardzo wymowny dowód tego mniemania. Bo wszystko jedno: czy jest on przestępcą, czy ofiarą nikczemnej intrygi, w każdym razie sprawa jego świadczy o moralnej zgniliźnie narodu, z którego się wyłoniła. Ta tylko między dwiema możliwościami zachodzi różnica, że w pierwszej około zdrajcy utworzyła się zuchwała banda, która swoimi środkami i wpływami chciała złamać siłę prawa, w drugim zaś—dość prawdopodobnym — taka sama banda i z takim samym celem zgrupowała się około oszustów. Czy przywodzi, gwałci, rozbija Dreyfus, czy też Paty du Clam, Esterhazy, Henry lub jakiś inny nędznik, to w zasadzie jest równoznacznym wykładnikiem moralności społecznej.

Nie będę zdaleka niedonośnym i niedosłyszanym głosem napominał tego niegdyś wielkiego a dziś skarlałego narodu, tembardziej, że żadna siła nie odrodziłaby go i że on ulegnie tej, która działa w jego wnętrzu i pcha go po drodze dawno przygotowanych przeznaczeń. Radbym natomiast z jego bagna wydobyć dla naszego ogółu jedną przestrogę, która na niem płonie jak błędny ognik. Wszystkie rządy ucywilizowane zachowują z nadzwyczajn

starannością, w miejscach możliwie strzeżonych i bezpiecznych, pierwowzory swojch miar i wag, które służą za idealne sprawdziany miar i wag, używanych w życiu codziennem. Metr lub stopa powiększa się lub zmniejsza w stosunkach powszednich, ale w skarbcu narodowym spoczywa metr i stopa prawdziwe, których nikt i nic nie zmienia. Podobnie każdy naród powinien z wielką troskliwością przechowywać wagi i miary moralne, ażeby w każdym wypadku mógł z niemi porównać normy dopasowywane pod ich imieniem do zmiennych warunków życia. Kiedy Dreyfus był sądzony w Rennes, wielu z nas zupełnie zapomniało o tych idealnych probierzach i gdybyśmy do nich byli przyłożyli zrobione doraźnie dla tej sprawy, dostrzeglibyśmy zdumiewającą różnicę. Że Francya zwyradnia się, zatraca poczucie moralne i tworzy bezecne szajki fałszerzy, oszustów, morderców cudzej czci, to jeszcze nie powód, azebyśmy my dla tych szajek tworzyli przyjacielskie chóry, które rzucają im zdaleka oklaski. Takie sztuczki, jakie wylazły na jaw z intryg sztabu generalnego, etyczne pojęcia takich ludzi, jak oskarżyciele Dreyfusa, to nie są modne kapelusze lub tużurki paryskie, w które można się przystrajać bez żadnego innego niebezpieczeństwa, prócz śmieszności.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNKI DO PRAHISTORYI POLSKI.

IV. Nazwy plemienne *)

Od paru lat zwrócono większą i przedewszystkiem systematyczniejszą uwagę na t. zw. synonymię plemienną, tj. nazwy, ktorych plemiona i narody używają w własnym obrębie i u sąsiadów. „Znajomość synonymii etnicznej ludów, znajdujących się w stanie mniej lub więcej pierwotnym — powiada Ten Kate — posiada niemałą donioslość dla etnologii. Naprzód charakterystyczne nieraz znaczenie nazw daje nam wiadomość o pewnych osobliwych rysach fizyognomii, zwyczajów i obyczajów. Powtóre, synonymia ujawnia stosunki historyczne i obecne plemion w ich wzajemnem zetknięciu i dostarcza probierza do znajomości ich geografii.“ Tak określił zadania synonymii jeden z najgłębszych pracowników na tem polu, pojmujący dobrze, że nie chodzi tam o gromadzenie ciekawostek i anegdot, jak sąsiad przezywa sąsiada, tylko o powiązanie tych terminów i symbolów słownych z głębszem podłożem i znalezienie w nich wskazówek do odgadnięcia przeszłości narodu.

Ale rzecz można postawić jeszcze na szerszym gruncie, traktując nazwy plemienne w związku z idącemi po sobie fazami rozwoju kulturalnego.

Zestawmy pewną liczbę przezwisk plemiennych na lądzie australskim i wśród czerwonoskórych Ameryki Północnej. O ile można, weźmiemy stosunki współrzędne, mianowicie i tu i tam wybierzemy albo tak zwany naród, tj. mniej więcej milczącą, żywiołowo utworzoną solidarność pomiędzy paru ościennemi plemionami, albo też poddziały tego samego plemienia. Poniżej podane tablice dadzą nam najlepsze pojęcie o różnicy, właściwej tym dwom ogniwom kultury, jednemu, jeszcze dzikiemu, drugiemu, należącemu do okresu średniego barbarzyństwa.

Australia, cztery grupy międzyplemienne lub narody, nazw 46. Z pośród nich przypada:

na przezwiska wzięte od wymowy	29	tj.	63%
może od wymowy, a może od zwyczajów	2	„	4
geograficzne	9	„	19
„ludzie,“ „przedni“	4	„	8,7
„włóczęgi“ i in.	2	„	4

Zgoła odmienny charakter przedstawiają nazwy i przezwiska u czerwonoskórych. Dla czterech grup plemiennych z dalekiego Zachodu posiadamy 55 przezwisk. Z pośród nich przypada:

od sposobów wymowy	1	[illegible]	[illegible]
geograficzne	15	[illegible]	[illegible]
„przedni.“ „macierzyści“	3	[illegible]	5
mitonymiczne	3	[illegible]	[illegible]
od przymiotów duchowych (włóczęgi, weseli, obżartuchy itd.)	12	[illegible]	[illegible]
od sprzętów, narzędzi	4	[illegible]	[illegible]
od budowy itd. chaty	2	[illegible]	[illegible]
od potraw plemiennych	6	[illegible]	11
cechy fizyczne, wrodzone i sztuczne	6	[illegible]	11
niezrozumiałego znaczenia	3	[illegible]	[illegible]

Dość rzucić okiem, ażeby spostrzedz niezmierną różnicę w naturze nazw i przezwisk u ludów australskich i amerykańskich. Niewątpliwie, materyał australski, z którego korzystamy, co do wyczerpania przedmiotu i opracowania nie może równać się z amerykańskim, co więcej, mamy pewne powody mniemać, iż jest niedokładny; ale przecież te braki nie posuwają się tak daleko, ażeby do tego stopnia oddziałać na otrzymany obraz stosunków. Mam podstawę do przypuszczenia, iż obok wyliczonych istnieją jeszcze w obrębie owych plemion liczniejsze przezwiska, zaczerpnięte od właściwości wymowy, może od głównie używanego pokarmu, oraz „wodzonymiczne,“ może jeszcze inne, ale nie stanowią one zasadniczego piętna synonymii australskiej, bo cokolwiek systematycznej zostałoby to uwzględnionem w pracach etnografów lądu kopalnego. Tymczasem obie tablice przedstawiają obraz pewnych właściwości, które trudno policzyć na karb przypadku. W Australii przeważają nazwy, pochodzące od sposobu wymowy. Istnieje np. „naród,“ złożony z dziesięciu „plemion,“ a opisany przez Dawsona. Każde z nich inaczej oddaje pojęcie, zawarte w wyrazie „ty“ i „wy,“ i jak w południowej Słowiańszczyźnie mamy kajkowców, czakawców, sztakawców od wyrazu „co,“ tak samo ów naród przedstawia grupę „waszczców.“ Jednocześnie każde z dziesięciu plemion posiada inną nazwę, od ogólnego charakteru wymowy; są więc tam „miękie usta,“ „urywane,“ „pieszczyste“ itd. Nie dość tego, istnieje jeszcze trzecia kategorya, pochodząca od akcentowania ostatniego wyrazu w zdaniu. W innem miejscu Australii, w pobliżu poprzedniego, przebywa naród „niechów“ — pozwalamy sobie na utworzenie takiego terminu od wyrazu „nie,“ na wzór formacyi „lech“ i „czech.“ Jedni więc nazywają się wathi-wathi, inni laczi-laczi itd., gdzie wathi, laczi znaczy „nie.“ Otóż w Australii przeważają nazwy, zaczerpnięte od sposobu wymowy, co ostatecznie jest — harmonii z istniejącem tam rozdrobnieniem językowem. Wśród wyliczonych czterech grup, ogółem nieliczących przed przybyciem Europejczyków więcej nad 7—10 tysięcy głów, mamy na pewne 29 narzeczy i języków. Plemiona amerykańskie, pomimo że ich rozległość liczebna około r. 1892, tj. kiedy zbierano przytoczone synonymie, była mniej więcej taką samą, przedstawiają tylko 8 narzeczy. Odrazu więc w Ameryce Północnej znika jeden z czynników, rodzących w Australii taką obfitość przezwisk, pochodzących od sposobu wymowy. To popierwsze. Powtóre technika Australczyka znajduje się na stopniu o wiele niższym, tj. jest uboższą w sprzęty, oręż, a więc jednostajniejszą. Przytem i sama przyroda nie odznacza się jednostajnością; synonymia plemienna mema więc tam tak obfitego materyału do czerpania nazw, jak u czerwonoskórych.

Słowem, ubóstwo działów synonymii australskiej jest zarazem i wynikiem i dowodem niższości technicznej i społecznej oraz większego rozstrzelenia ludów tamtejszych; wobec szczupłości innych różnic, językowe stają się pierwszorzędnemi.

Weźmiemy teraz inny przykład, zaczerpnięty z naszej części świata. Zamierzamy mianowicie przeciwstawić sobie nazwy ludów germańskich, przytoczonych u Tacyta (jest to najobszerniejszy i zarazem najwiarogodniejszy zbiór nazwisk barbarzyńców tego szczepu), a nazwy ludów słowiańskich, figurujące u geografa bawarskiego, oraz u Nestora.

Ludy germańskie, przytoczone u Tacyta, można podzielić na dwie grupy, mianowicie te, które znajdują się w obrębie wpływu rzymskiego, jako osiadłe w granicach Galii lub będące w lennym stosunku, oraz niepodległe. Psychologia nazw w obu razach przedstawia się niejednakowo. W pierwszym przypadku, z ogólnej sumy siedmiu plemion przypada na

nazwy geograficzne	5,	tj. około	71%
niewyjaśnione	1	„	14
„przedni“	1	„	14

Obok ludów germańskich, przebywających w obrębie bezpośrednim wpływów rzymskich i z konieczności prowadzących osiadły tryb życia, pomieścimy Słowian. „Siedli byli Słowianie nad Dunajem—powiada Nestor — gdzie dzisiaj ziemia germańska i bułgarska i przezwali się mianami swemi, gdzie siedli na jakiem miejscu.“ Kronikarz zaznacza tutaj fakt, którego całą doniosłość ocenimy niebawem. Wylicza on 23 ludy słowiańskie, z pośród których przypada na

końcówki geograficzne	16	tj.	69,6%
„wodzonymiczne„ (Wętycze)	2	„	9
niepewne (Krywicze)	1	„	4
prawdopodobnie przezwiska	5		21,8

Geograf bawarski wylicza 57 ludów, z których kilka na pewno nie było Słowianami. Historycy usiłują rozwiązać łamigłówkę, zawartą w niektórych z tych nazw. Jest to rzecz dla nas obojętna. Czy np. Głopeani będą kołpianami, jak wywodzi Szafarzyk, czy też ludem z nad jeziora Gopla, jak chce A. Kralicek, w obu wypadkach jest to nazwa geograficzna, a to nam do naszych celów wystarcza. Otóż z ogółu nazw, przytoczonych u geografa bawarskiego, przypada na:

końcówki geograficzne	32	tj.	56%
nazwy niemieckie ludów słowiańs.	6	„	10
warstwa wzięta za lud (Betheniei)	1		
ludy niesłowińskie	7	„	12
[illegible]	1		
niewyjaśnionego znaczenia	10	„	17,5

I znowu widzimy, że ludy słowiańskie w okresie swego pojawienia się na widowni historycznej noszą nazwy geograficzne, tj. zaczerpnięte od miejsc zamieszkania, np. Wiślanie, Opolanie u geografa bawarskiego, Polanie, Drewlanie, Siewierzanie u Nestora. Nie wyklucza to istnienia przezwisk takich, jak dzisiejsi „sckały“ i „hestacy“ we wzajemnym stosunku Peleszuków i Ukraińców, lub jak u nas Lemkowie, Jackowie, Kurpie. Zresztą zatrzymamy się jeszcze nad tem pytaniem.

Zgoła inny widok przedstawiają szczepy niepodległe germańskie, wyliczone u Tacyta: z ogólnej liczby 39 przypada na:

geograficzne lub możliwie geograficzne	7	tj.	18%
niewyjaśnione	8	„	20
„dzielni,“ „pierwsi,“ „sławni“	11	„	28

*) Streszczone wyciągi, jak i poprzednie przyczynki z obszerniejszej pracy o pierwocinach społecznych. Musimy tu zwrócić uwagę na połączenie w pierwszym naszym artykule imienia Chrobrego zamiast Krzywoustego w jednem miejscu. Omyłka ta nie wpłynie jednak na wyniki wywodów.

od zbroi (np. mieczonośni)	5 „	13%
od obowiązków plemiennych . . .	1 „	2.5
od ruchliwości (włóczęgi itd.)	4 „	10
od stroju	3 „	7.5

I u późniejszych ludów germańskich z okresu wielkiej wędrówki ujawnia się ten sam charakter, więc Gotowie są wprost „dzielnymi,“ Frankowie — „oszczeponośnymi,“ Sasi — „posiadającymi krzemienne długie noże,“ jako oręż narodowy, Wandalowie — „włóczęgi.“ Widzieliśmy, iż Germanowie osiedli nie różnią się co do charakteru nazw swoich od Słowian, więc synonymia nie stanowi tutaj przymiotu rasowego, jest tylko dziełem warunków bytu społecznego. Innemi słowy, nazwy stanowią kategoryę, zmieniającą się zależnie od formacyi społeczno-kulturalnej szczepu, o ile naturalnie nie wda się tradycya i nie utrwali przydomków poprzedniej epoki historycznej.

Z tymi wynikami zwrócimy się do początków dziejów naszych. Zaznaczyliśmy, iż u Nestora, obok nazw pochodzenia geograficznego, istnieją jeszcze inne, które nazwaliśmy przezwiskami. Są to Lechowie, Czechowie, Chorwaci, Dulębowie i Serbowie. W swojem ukształtowaniu nie przedstawiają one najmniejszego charakteru geograficznego. Wszystko każe przypuszczać, iż są to przezwiska właśnie takie, jakiemi odznaczają się niepodległe ludy germańskie u Tacyta. Niejednokrotnie usiłowano Chorwatów wyprowadzać od tego pierwiastku, jaki jest zawarty w naszem „chrobry,“ prof. A. Brückner skłonny jest widzieć w nazwie „serb“ charakterystykę ogólną wymowy, taką, jaką Australczyk oznacza za pomocą „miękich,“ „twardych“ itd. ust. Niewątpliwie Czech i Lech stanowią utwory tego samego rodzaju formacyi. Nie wiem, od czego je wziąć, czy od użycia „li“ i „czy,“ albo może od tego, iż imiona u jednych często kończyły się na „lech,“ np. Blech, u drugiego na „czech“ lub „ciech,“ czy jeszcze od zgoła czegoś innego, albo niewątpliwie, iż są to nazwy współrzędne, tj. jednopochodne, oraz iż były przezwiskiem, szyderczem może i nadawanem przez ościenne plemiona słowiańskie. Są one dziełem formacyi przedgeograficznej, co ujawnia się przewybornie na nazwie Dulębów — przezwisku, zanikającem potem w nazwie geograficznej. „Słowianie owi — powiada Nestor — przyszedłszy siedli nad Wisłą, a od tych Lechów przezwali się jedni Polanami, drudzy Lechowie — Lutyczami, inni Mazowszami, inni Pomorzanami.“

Jeszcze parę słów o rodowodzie Lechów, co do którego w ostatnich czasach tyle u nas pisano.

A. Małecki usiłuje zrobić z nich nazwę geograficzną, od lędu, tj. pola. Opiera się on na nazwie Polaków, jaka występuje w pieśniach ludowych serbskich i w tamtejszych kronikach w języku cerkiewnym: lendjanin. Ale nazwa ta tak zatarła się, iż niemal przypadek wykrył, że była stosowaną do nas, przyczem zawsze jest użytą w związku z wypadkami i osobami węgierskiemi. Nastręcza się pytanie, jakim sposobem lud mógł zapomnieć do tego stopnia nazwę krewniaczego szczepu w ciągu paru, trzech, czterech wieków, iż dopiero przypadek podczas studyów archeologicznych wyjaśnia jej znaczenie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, iż Lendjanin serbski jest niczem innem, jak zserbszczałym Lengyel Węgrów, której to nazwie nadano, według synonymii słowiańskiej, końcówkę geograficzną. Lengyel zaś jest przeróbką z „lecha“ lub „lęcha.“ Lecha więc nie wyjaśniałbym jako nazwy geograficznej, a jeśli pochodzić ma on od „lędu,“ to mniemałbym, iż jest w związku ze znaną mi treścią „ljadiny“ (ledyny), mianowicie kawałka lasu wypalonego pod rolę, i miałby może znaczenie: wypalacza lasów. Zresztą jest to łamigłówka, do której, mojem zdaniem, zatraciliśmy klucz. Jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż jest to przezwisko, oraz że wyjaśnienie jego wiąże się z wyjaśnieniem nazwy Czecha.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a (Bibl. dzieł wybr.). Warszawa, 1899, tomów dwa.

Wszystkie tomiki wychodzące w „Bibliotece dzieł wyborowych“ pp. Granowskiego i Sikorskiego opatrzone są przedmowami. Jest to przezorność niekiedy niezbędna. Wyborne „Dzieje narodu polskiego,“ któremi „Biblioteka“ silnie podparła swój rozgłos, na razie świetny, później gruntownie zachwiany, nie mogłyby się ostać bez pewnych wstępnych objaśnień Władysława Smoleńskiego. Studyum tegoż Smoleńskiego p. t. „Szkoły historyczne w Polsce,“ lub rozprawa Piotra Chmielowskiego „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)“ wymagały również kilku wskazówek, co do czasu przynajmniej, w jakim się po raz pierwszy ukazały w *Ateneum*. Ale zachodzić mogą również moralne niedomagania w skutek częstotliwości i zbyt ojczystego kolorytu podobnych... „listów rekomendacyjnych.“ Redakcya „Biblioteki“ jest zbiorową i naturalnie — zmienną. Umiera Junosza, wchodzi Święcicki, usuwa się Antoni Sygietyński, pozostaje Jeske-Choiński, wyjeżdża chory prof. Chmielowski, pierwsze skrzypce w jego zastępstwie bierze dr. Julian Ochorowicz. Łatwo w takich przejściach zdarzyć się może (bo czy się zdarza — nomina sunt odiosa), że p. Choiński przedrukować zechce coś swego: wówczas jedyną nowością będzie, gdy p. Święcicki napisze dwie kartki polecającego przedsłowia. Alboż w takim razie ozwie się ktokolwiek o bliźnim inaczej, jak tylko — że dał rzecz „wyborową?..“ Czy jednak w ten sposób — dotąd oczywiście hypotetyczny — piśmiennictwo polskie nie dałoby się z czasem zaśmiecić wiórkami i wybiórkami najzupełniej dowolnego gatunku? O krytyce bezstronnej, poważnie najmującej swe obowiązki, nie mogłoby nawet być mowy. Bo i cóżbym naprawdę odważył się wyrzec o „Strasznym Dziadunie“ Radziwiłłowny, któremuby sam Adam Pług świadectwo dobrego prowadzenia się wystawił? Albo też znowu, jak sobie radzić ze „Stellą“ Krechowieckiego (który *nb.* jest redaktorem *Gazety Lwowskiej*), ilekroć Stellę w świat wprowadzi Jeske-Choiński, sprawozdawca od *Kuryera Warszawskiego, Gazety Lwowskiej, Wieku* i współredaktor główny „Biblioteki dzieł wyborowych?“ I nawzajem skąd zaczerpnąć śmiałość do „medocenienia“ Choińskiego „Iskier,“ jeśli je zawczasu przecenił *Kuryer Warsz., Wiek, Gaz. Lwowska!* Kręcąc się tak w kółko, nie trudno byłoby doprowadzić estetyczne zmysły publiczności do zupełnego omdlenia, nadczułości i napół sennej ekstazy nawet nad „Zakopanymi skarbami“ Zacharyasiewicza (z przedmową Choińskiego), nawet nad „Cudną mieszczką“ Gomulińskiego (z przedmową Choińskiego), nawet nad „Pojatą“ Bernatowicza (z przedmową Choińskiego), nad „Baranim kożuszkiem“ Kraszewskiego (z przedmową Choińskiego), nad „Przeklętemi pieniędzmi“ Bałuckiego (z przedmową Choińskiego), nad „Półpankiem“ Gradzińskiego (z przedmową Choińskiego) itd.

Przedmowę do „Pamiętników Sierżanta Bourgogne'a“ napisał sam tłomacz, Walery Przyborowski. I bardzo dobrze sobie postąpił. Tłomaczenie jest znośne, miejscami, liche, pobieżne, niepoprawne tu i owdzie — w dyalogach niemal wyłącznie, gallicyzmami oszpecono, ale przedmowa piękna, zachęcająca. „Pamiętniki — (pisze tłomacz) — które dajemy w przekładzie polskim, ukazały się w osobnej książce po raz pierwszy przed kilku miesiącami(?) w Paryżu i zyskując sobie wielką poczytność, wywarły niezwykłe wrażenie...“ Następują szczegóły z życia pamiętnikarza (Adryan Jan Chrzciciel Franciszek Bourgogne pochodził z drobnej mieszczańsko-kupieckiej rodziny, służył w gwardyi napoleońskiej, odbywał kampanię pruską 1807, austryacką 1809, walczył w Portugalii, Hiszpanii, „i w r. 1812 *znalazł się* w Wilnie, gdzie Napoleon *skoncentrował* swe gwardye, *wyruszając* na wyprawę rosyjską,“ itd.) — szczegóły jednakże nieprzyczyniające się w niczem do określenia i uwydatnienia głównego w danym wypadku pytania: kiedy mianowicie Bourgogne wspomnienia swe o kampanii 1812 r. pisał i jakiemi pobocznemi źródłami pamięć swą zasilał lub odświeżał? — Wskazówek pod tym względem szukać trzeba w samej treści opowiadania, w jego kompozycyi, łatanej i sztukowanej bardzo widocznie — szytej białemi nitkami na owem tle „ponurem,“ które tłomacz retuszuje za mocno, gdy powiada: „najbujniejsza, najlotniejsza wyobraźnia nie jest w stanie wytworzyć takich scen i takich obrazów, jakie tu *rzeczywistość* krwawym pendzlem *namalowała*...“ Głodnemu, niewyspanemu, co chwila niemal umierającemu w odwrocie szeregowców *rzeczywistość* doraźna, natychmiastowa, nie wtykała przecież pióra do ręki na polach Borodina, w czasie pożaru Moskwy lub wśród popłochu ucieczki, kiedy odmrożone ciało martwymi kawałkami opadało z palców, a drogi piętrzyły się stosami połamanych wozów i skostniałych trupów. Nie przeczymy, że „nieskończone przestrzenie śnieżnych płaszczyzn, na których akcya się rozwija, głód, mróz, zawieje, wreszcie strona psychologiczna tych setek tysięcy ludzi, dążących do ojczyzny, myślących jedynie o ocaleniu siebie, rwących wszelkie węzły karności, braterstwa i ludzkości, będzie zawsze przedmiotem pociągającym ku sobie nietylko dusze artystyczne, ale umysły głębsze i badawcze.“ Bez wątpienia — ale obrazy takie muszą być zawsze utworami reflleksyi, uzupełnionej wyobraźnią, zealonej perspektywą czasu i oddalenia. Dojrzał ich tłomacz u Bourgogne'a, bo jest człowiekiem wykształconym, bo o r. 1812 ma już uprzednio nabyte i wielokrotnie uwarstwione podłoże. Ściśle biorąc, malowideł tego rodzaju nie zawierają prawie wcale wspomnienia Bourgogne'a — i to, między innemi, świadczy w pewnej mierze o bezpośredniości otrzymanych i skreślonych przez niego wrażeń. Atoli i ta bezpośredniość jest bardzo względną, pomimo iż kończąc swoją opowieść Bourgogne zapewnia, że spisywał pamiętniki w latach 1813 (w więzieniu) i 1814 (po uwolnieniu), a więc na świeżo, kiedy „zaledwie sam sobie wierzył,“ iżby mógł był znieść tyle „nędzy i niedoli.“ Zresztą w samym toku przytaczanych zdarzeń i wypadków są poszlaki grubej, niezaprzeczonej, w oczy bijącej wieloźródłowości przypomnień i klejenia — osnowy i układu. Chronologia bitew i potyczek, nazwiska i zachowania się niektórych generałów, nomenklatura miejscowości — są niezaprzeczenie książkowe, biuletynowe, pożyczane. Listów pisanych do matki w ciągu wyprawy, o których Bourgogne nadmienia w jednem miejscu, nie mogło być wiele, a w nich o opisach okolicznościowych nie może być nawet mowy. Najobfitszą kopalnią informacyj — rzadziej zaś od-

panego w pamięci wrażenia — były pogawędki, w okresie znacznie późniejszym, od 1813—1814, z dawnymi towarzyszami broni. „Od kilku już lat — mówi w jednem miejscu Bourgogne (II, 117) — przestałem pisać mój pamiętnik o kampanii rosyjskiej — a raczej *uporządkować* moje wspomnienia z r. 1813, gdy siedziałem w więzieniu... Jednakże, gdy śnieg zaczyna padać i gdy znajdę się w gronie mych druhów, starych weteranów cesarstwa, kilku jeszcze gwardyi cesarskiej, z których żyje już niewielu (1829), którzy byli razem ze mną w Moskwie — wspomnienia nasze *zgadzają się* zawsze i tak *im*, jak i mnie, pozostawiły po sobie niezatarte ślady... Z dumą mówimy zawsze o naszych pełnych chwały wyprawach...“

Epizody postronne, z ust kolegów słyszane i wtrącone do całości, występują w charakterze wyodrębionym dopiero w tomiku drugim, snadź mniej „uporządkowanym“ — w pierwszym natomiast zamazują się, nikną — zlewają się w prąd jednoosobowego jakoby doświadczenia i przeświadczenia. Ale towarzyska, zbiorowo-gawędkowa obecność takich duplikatów, trojaczków, czworaczków itp. zdradza się raz po raz zgęszczeniem farb i różnolitością scen drobiazgowych, zbyt obfitą jak na skalę postrzeżeń osobistych w sytuacyi tłumnej, skomplikowanej, niezmiernie na wojnie zamętnej, pośród klęsk wprost zabijających wszelką oryentacyę *świadomą*. Na płótnie lub na papierze widział ten wojnę, kto utrzymuje, że np. w bitwie szeregowiec zdolnym jest zdawać sobie sprawę z tego, gdzie jest, co i kogo ma przed sobą, obok siebie lub za sobą — oprócz kłębków dymu, gorącej strzelby, tłoku, krzyku i ciągłego potykania się o jakąś pod nogami zawadę.

Swoją drogą, zmyślać Bourgogne nie miał najmniejszej potrzeby: jego towarzysze przepowiadali sobie również rzeczy istotnie „bywałe.“ Że zaś nasz sierżant wracając z Moskwy zjadł w swym pamiętniku koniny za czterech, że w samej Moskwie dymu nałykał się za cały pluton, że nóg i uszu na mrozie postradał od Małojarosława do Smoleńska i od Smoleńska do Wilna z pół kopy — nad tem nie długo zastanawiać się będzie ów „myśliciel i psycholog,“ o którym tłumacz zapewnia w przedmowie, że we wspomnieniach Bourgogne'a „znajdzie obok faktów zupełnego zdziczenia i obojętności na cierpienia bliźnich, czyny tak wzniosłego poświęcenia i miłosierdzia, że one okupują wszystkie ciemne strony tego odwrotu i nie pozwalają wątpić o człowieku, jako o istocie wyższej i lepszej.“ Rzeczywiście — odmrożone, stracone i posiekane w r. 1812 uszy po chrześciańsku pożyczano sobie nawzajem — ale dopiero w latach 1814—1829, kiedy przy skromnych braterskich ucztach wnoszono zdrowie zmarłego na wyspie św. Heleny cesarza...

Co do dosadności niektórych szkicowych wizerunków, mających być, według zapewnienia tłomacza, „niewyczerpanem źródłem dla artysty malarza i dla powieściopisarza,“ nie nadużyjemy prawa grzeczności względem przyszłych twórców lub przedsiębiorców panoramy roku 1812, gdy zaznaczymy, że z obrazków Bourgogne'a najwiarogodniejszemi są — najbardziej skromne i wstrzemięźliwe w punkcie dwojenia i trojenia efektów ostrych. Do takich należy sławna przeprawa przez Berezynę — nikła, blada, stereotypowa u naszego sierżanta, ale za to nie za szeroka, jak na jego widnokrąg i znękane na razie zmysły. Dobrą, wcale dobrą jest także bitwa pod Krasnem (I, 118—130) — pomimo że zakończoną została notatką książkową erudycyjną: „Generał angielski Wilson, obecny w czasie tej bitwy, nazwał ją bitwą bohaterów, lecz nazwa ta właściwą *dla nas* (?) nie była — dla nas, cośmy z kilku tysiącami ludzi walczyli przeciwko całej armii rosyjskiej liczącej 90,000 ludzi.“

W końcu pozwalamy sobie wyrazić zdziwienie, że tłomacz (Walery Przyborowski!) te oto słowa umieścił w przedmowie: „Śmiało rzec można, że dotąd, to jest do czasu pojawienia się pamiętników Bourgogne'a, nie mieliśmy wyobrażenia o wszystkich okropnościach i grozie straszliwej tego odwrotu...“ Same tylko wyjątki z pamiętników Krasińskiego (u Falkowskiego) i Fredry (u Biegeleisena) składają się na coś nieskończenie potężniejszego i bez porównania głębszego... A cóżby się to zdobyło, gdyby czas zużyty na skopiowanie obcego — dość berdyczowskiego w wielu razach „malunku“ Bourgogne'a, poświęciło się było na zajrzenie, tu i owdzie, do bibliotek i zbiorów prywatnych, że o publicznych, jak np. w Ryczywole... „już zamilczeć wolę.“

Rajczyc.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Gabryela Zapolska: *Urszulka z Czarnolasu*, sztuka w pięciu aktach, osnuta na tle XVI wieku, wystawiona w Wodewilu d. 6 września r. b.

Najpiękniejszą jest pieśń niewyśpiewana, woła bard w „Pretendentach“ Ibsena. Pieśń ta jest bowiem jakąś duszą, która nie znalazła sobie ciała i sunie niby „gwiazda za granicą świata,“ należąc jednak do niego, jak należy ideał.

Taką niewyśpiewaną pieśnią, takim nieucieleśnionym ideałem, taką „gwiazdą za granicą świata“ jest w poezyi polskiej dziecię-poetka, maleńka Urszulka Kochanowska, córeczka genialnego piewcy z Czarnolasu. Legenda owiała postać dzieweczki niewysłowionym urokiem; a chociaż nie była w stanie przekazać potomności ani jednej jej piosenki, mimo to wprowadziła ją do panteonu wieszczów polskich, do świątyni nieśmiertelnych.

Mamyż wierzyć legendzie w całej rozciągłości? Żali to dziecię było istotnie zjawiskiem fenomenalnem? Czy też może zrozpaczony ojciec, który w przepięknych trenach zapłakał nad utratą dzieciny, przesadził w rodzicielskiej czułości i otoczył aureolą główkę zwykłej pieszczoszki, nie zasługującej na podobny zaszczyt?

Zdaje nam się, że zagadka nie jest tak trudną do rozwiązania. Jan Kochanowski był nietylko geniuszem, torującym drogę całej poezyi polskiej aż do dnia dzisiejszego, ale zarazem niepospolitym estetą, umysłem światłym, niezmiernie ucywilizowanym i pozbawionym wszelkiej sentymentalności. Nie byłby się taki esteta roztkliwiał nad pisklęciem swego gniazda, gdyby to pisklę nie było istotnie małą orliczką i nie rwało się do lotu „uczuwszy piórka na skrzydełek końcu,“ gdyby w oczętach dziecięcia nie błyszczała „geniuszu świetność,“ dziecięcia, na które wedle jego słów: „nietylko moja cząstka ziemieńska, ale i lutnia prawem dziedzicznem spaść miała.“ Jan Kochanowski był umysłem nawskroś trzeźwym, zdającym sobie dokładnie sprawę z działalności swojej i stosunku do Parnasu polskiego („Owo prosto będziecie ze mnie mieć Chirona, tylko że ja nie włóczę za sobą ogona“), bywał nieraz bardzo krotochwilnym, śmiał się śmiechem człowieka zdrowego i przelewał tylko łzy nad tem, co było „łez godno.“ Wierzymy przeto i słowom jego i legendzie, która dziwny oddźwięk znajduje w sercach naszych, jak gdyby przynosiła nam coś pokrewnego, coś nam przyrodzonego, coś naszego. I zaiste przynosi nam to.

Kochanowski wraz ze swą Urszulką tworzy świat odrębny w dziedzinie poetyckich uczuć. Na lapidarny styl jego padł proch archaizmu, ale nie zatarł go. Pieśń jego sięga głęboko do naszej duszy. Potężna indywidualność piewcy uwidocznia się na każdym kroku. Wystarcza pojechać w piękny dzień lipcowy do Czarnolasu i pobłąkać się pół godziny w cieniu starych lip, siąść na ławce kamiennej porosłej mchem, puścić wzrok po sąsiedniej łączce, na której może odbywały się „Sobótki,“ na ciemniejący za tą łączką lasek, z którego zda się wychyli za chwilę ucieszną kudłatą głowę „Satyr, albo dziki mąż,“ wystarcza spojrzeć na piękny biust poety i na umieszczony pod nim maleńki sarkofag z wyrytym na głazie ustępem z „Trenów,“ wystarcza tam chwilę podumać, aby oczy wezbrały łzami a pierś jakąś świetlaną żałością, aby stanęły przed nami wszystkie myśli nieśmiertelnego piewcy, wszystkie obrazy z jego życia i aby szły za nami po parku śród uroczystej ciszy letniego popołudnia.

W jednym z miesięczników wyraził któryś z naszych estetów przed kilkunastu laty zdanie, że Kochanowski był niejako pierwszym romantykiem, gdyż w „Trenach“ uderzył w strunę uczucia, którego pseudo-klasycy do poezyi nie wprowadzali. Idąc dalej torem podobnych wywodów, moglibyśmy powiedzieć, że Kochanowski był także pierwszym „nastrojowcem,“ gdy nierównym wierszem nastraja nas na eligijny ton swego żalu, pisząc: „Nie do takiej łożnicy moja dzieweczko droga miała cię mać uboga doprowadzić... Nie takąć dać obiecowała wyprawę, jakąc dała... Giezłeczko tylko dała a lichą tkaneczkę, ojciec ziemi bryłeczkę w główki włożył... Niestetyż i posag i ona w jednej skrzynce zamkniona...“

Kochanowski daje wyraz uczuciom naszym, plemiennie i kulturalnie odrębnym. Trysnęła z jego piersi pieśń obywatela-ziemianina, człowieka szczęśliwego, poczuwającego się do obowiązków publicznych i niezasklepionego w uroczem zaciszu wiejskiem. Dał nam klasyczny obraz owego życia na wsi, owej pogody umysłu, poczucia szczęśliwości. Wiek szesnasty przemówił jego ustami, kiedy pisał: „Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary?“ Lud do dnia dzisiejszego śpiewa po kościołach jego pieśni. Matki uczą nas jego modlitwy „Kto się w opiekę.“ Nikt serdeczniejszej miłości rodzicielskiej od niego nie wyraził. Cóż więc dziwnego, że naród otoczył jego pamięć tkliwą miłością, kiedy duch jego i Urszulki kroczy za każdym z nas od kołyski, przez wiek młodociany i męzki? Kiedy odkładając ze łzami jego książki powtarzamy słowa Mickiewicza: „Jeszcze go nikt nie zdetronizował?...“

Zapolska, wiedziona niezmiernie szczęśliwą intuicyą, osnuła sztukę na tle jego życia. Jest to bezsprzecznie wielki dar umieć nakreślić obraz obyczajowy, pozbawiony pierwiastku dramatycznego, wypełniony tylko momentami charakterystycznymi i lirycznymi, przykuć uwagę widzów nie na chwilę przelotną, ale przez pięć długich aktów i poruszyć ich do łez. Utwór ten jest nietylko pięknym, ale i pożytecznym. Pod względem zaś artystycznym nasuwa dużo ciekawych uwag.

Oprócz historyi Urszulki i Kochanowskiego mamy w czwartym akcie przegląd znakomitości szesnastego wieku, które gromadzą się pod lipą czarnolaską jak w jakiejś idealnej jaselce. Zapolska chciała przed oczami widzów przesunąć te postaci i wywiązała się z zadania w niezmiernie ciekawy sposób. Każda postać sama się charakteryzuje. Więc Rej z czarą w ręku kleci swe rymy, drwiąc z trosk; więc Paprocki przedstawia świeżo wydany „Herbarz“ swój; więc Klonowicz utyskuje na ciężkie stosunki. Intencya autorki jest widoczną; a jednak jest to coś więcej, niż pedagogia, bo dziwnie chwyta za serce, bo istotnie przenosi myśl w owe czasy, pobudza do rozpamiętywania; ustęp

ten wywiera wrażenie udramatyzowanej dumy.

Jeszcze jedno. Nieraz biadano, że Kochanowski w „Sobótkach“ nie nakreślił nam obrazu tej uroczystości wedle ówczesnych obyczajów ludu. Utwór jego był zatem dla nas trochę niezrozumiałym. W każdym razie rzecz ta mniej nas poruszała od innych jego dzieł. Zapolska w drugim akcie pomaga naszej wyobraźni, odtwarzając obraz tej uroczystości według scenaryusza Kochanowskiego. I nagle powiadamy sobie: tak to mogło odbywać się w ten sposób, Kochanowski opisał może sobótki czarnolaskie, kiedy to z rodziną stawał na onej łące, a córki jego tańczyły dokoła ognia, śpiewając, wygłaszając rymy i skacząc przez płomień.

Kładziemy nacisk na te dwie sceny, które według nas pod względem historyczno-literackim zasługują na uwagę.

Następnie uderza nas charakterystyka trzech osób: Jakuba Podlodowskiego, rycerza zakutego w stal, niezmużonego służbistę w sprawach publicznych, który wieczorami wychodzi przed namiot i patrząc na gwiazdy, podziwia wielkość bożą, czuje się marnym prochem, a gdy zagrają pobudkę, wali po karkach bisurmanów: dalej Franulka Kochanowskiego, typową postać szlachcica-sobka, obżartucha, opoja, brudasa, który się sam nawet uczesać nie potrafi; wreszci Felipa Owadowskiego, grzecznego kawalera i rycerzyka, umiejącego, gdy honor każe, nawet miłość zamknąć w sercu na siedem pieczęci.

Pomiędzy postaciami kobiecemi występują na pierwszy plan po Urszulce typy takie, jak pani Kochanowskiej, następnie Doroty, pysznej dziewczyny, która bardziej rwie się do rycerskiego rzemiosła, niż do kądzieli.

Rzecz cała toczy się jednak głównie około samego piewcy czarnolaskiego i jego ukochanej Urszulki. Dziewczka odwiedza go pod lipą, na zapytania odpowiada wierszykami, budzi w nim podziw, gdyż to nietylko improwizatorka, ale malućna wieszczka, która jakby miała widzenie bliskich wypadków. Sceny te napełniają serce matki trwogą i przeczuciem, że takiej dziecinie trudnej się będzie uchować. I nie myliło się serce matki. Dziecina zasłabła nagle. „Głowa moja, głowa! — woła biedactwo — odejmijcie mi głowę!“ Dogorywa na rękach rodziców w jakiemś jasnowidzeniu, wizyi, przemawiającej jak natchniona, jak wieszczka. Kamień poruszyłby się, gdyby miał oczy i patrzył na tę scenę.

Wodewil uczynił wszystko, na co siły jego pozwalały, aby rzecz wypadła na scenie możliwie dobrze. Aktorzy, nieobznajomieni dostatecznie z literaturą i historyą, tu i owdzie chybili; rycerska żałość była zbyt sentymentalną, zamaszystość zbyt teatralną. Aleć niepodobna więcej wymagać od ludzi, którzy rzadko kiedy mają sposobność wystąpienia w jakiejś porządniejszej sztuce. Wielu z nich jednak grało znakomicie, a koroną była dzieweczka, przedstawiająca Urszulkę.

Winszujemy pani Zapolskiej tego utworu. Nie zastanawiamy się w tej chwili nad tem, czy rzecz ta jest czemś trwalszem i przetrwa próbę lat, czy nie. Na to pytanie odpowie inny krytyk, któremu na imię — czas. Ale sądząc ze stanowiska potrzeb chwili, zestawiając jej sztukę z bieżącym repertuarem teatrów, z estetyką i etyką tego repertuaru, musimy pani Zapolskiej za „Urszulkę z Czarnolasu“ złożyć szczerą podziękę.

Andrzej Niemojewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWA W RADOMIU.

I.

Gubernia Radomska posiada piękną, żyzną glebę oraz olbrzymie i różnorodne bogactwa kopalne, a więc bardzo obfity materyał, który za pośrednictwem wystawy mógłby odzwierciedlić stan ekonomiczny i poniekąd społeczny znacznej przestrzeni kraju. Zadania tego wystawa, niestety, nie spełniła, ale za to pod wielu względami odegrała taką rolę, jakiej zapewne nie miała na celu. Odzwierciedliła ona nie obraz przemysłu, rzemiosł i rolnictwa w całej pełni, lecz różnorodne braki, świadczące o tem, że nie posiadamy zdolności organizacyjnych, że nie dbamy o własne dobro, że nie jesteśmy skrupulatni w spełnianiu zadań podjętych, że ważne sprawy traktujemy bardzo lekkomyślnie, powierzchownie i pospiesznie. Wszystkie te cechy charakterystyczne ujawniły się od pierwszej chwili otwarcia wystawy. Komitet, załatwiwszy się z główną ceremonią, zapomniał tego dnia już zupełnie o wystawie, zanadto pochłonięty pokrzepianiem sił i... humoru. Kancelarya z tego powodu przez cały dzień była nieczynna, a interesanci odchodzili zawiedzeni i podrażnieni. Wieczorami miała przyświecać elektryczność, ustawiono maszyny, wystawcy zapłacili za światło i wieczorem cała wystawa pogrążyła się w zupełnych ciemnościach. Maszyny pracowały jak szkapy zagłodzone i zjeżdżone, a pan przedsiębiorca próżno wołał jak bałagułarz na drodze błotnistej: wjo, wjo! Ani rusz! Lampki żarowe świeciły jak papierosy, piękne klosze mleczne wisiały wysoko po nad drzewami, jak zbladły księżyc na niebie dziennem. Czasem coś w nich się smażyło, czasem przebiegały nagle błyskawice i oślepiały publiczność, która przecierając oczy, nie mogła przyjść do siebie. Kto temu winien? Winnych niema; schowali się, jak kuglarz prowincyonalny, któremu po zamknięciu kasy przedstawienie się nie udało. Wiadomo tylko tyle, że lokomobilę sprowadził gospodarz wystawy, p. Pomorski, że miała ona posiadać siłę 60 koni, a zdobyła się zaledwie na 10. W pawilonach zaległy ciemności, tylko niewielka garstka przezornych zaopatrzyła się w lampki i świece.

Panowały także innego rodzaju ciemności. Próżnoby się mozolił, ktoby chciał zdobyć jakiekolwiek dane, dotyczące rozmiarów, stanu produkcyi i jej techniki, rynków zbytu, czynników sprzyjających rozwojowi lub upadkowi ekonomicznemu. Zaciekawiony ozdobnymi piecami, pytam: Czyje to są wyroby, jaki jest stan produkcyi i handlu? — Czyje? zaraz zobaczę! — mówi delegat wystawcy i wybiega, ażeby przeczytać jego nazwisko na pawilonie. Pytam o coś w innem miejscu: — Nie nie wiem, plosię pana! — odpowiada mi chłopak kilkoletni, delegat wystawcy... — Jak dawno istnieje ten browar? — Ja jestem w nim już osiem lat! — brzmi odpowiedź. Gdzieindziej sami wystawcy udzielają informacyj dosyć niechętnie.

Większość pawilonów i okazów stoi po całych dniach bez wystawców lub ich delegatów. Natomiast były szczegółowe i sążniste programy wyścigów cyklistów, a publiczność, zaciekawiona tymi popisami, zaległa dokoła zwartym murem, zajęła miejsca na maszynach, narzędziach rolniczych i innych okazach. Próżno usiłowaliśmy obejrzeć jakieś pługi i sieczkarnie ciekawe. Dziesiątki nóg wgwoździły je w ziemię, zabrudziły piaskiem i błotem. Próbuję stamtąd się wydostać, ale daremnie! Z jednej strony — *panis*, restauracya oblężona, z drugiej *circenses!* W godzinach popołudniowych wystawa dla żołądków i zabaw. Nikt nie myśli o jej właściwem znaczeniu.

Mimowoli nasuwa się nam porównanie wystawy radomskiej z innemi. Gdzieindziej mieliśmy bogate dane statystyczne i wszelkie wykazy, dotyczące stanu produkcyi i jej techniki, nietylko w działach ogólnych, lecz nawet w pawilonach prywatnych. Na wystawach rolniczych np. w Moskwie i Kijowie, oraz powszechnej w Niższym Nowogrodzie wzorowe gospodarstwa rolne prywatne wystawiły nietylko okazy swej produkcyi, lecz także owoce pracy naukowej i sprawozdawczej. Mieliśmy przynajmniej pojęcie, jakiemi drogami szedł tam postęp, jak zadrzewiano nieużytki, osuszano lub nawadniano grunty, mieliśmy dokładne cyfry kosztów produkcyi itd. Całe grupy przemysłowe lub organizacye rolne wystawiły nawet bogatą literaturę specyalną. Na wystawie radomskiej nie znaleźliśmy w tej mierze najmniejszych notatek i wskazówek (z wyjątkiem cenników lub reklam). Pewna grupa zakładów górniczych wystawiła kilka brył rudy i nic więcej po za tem! Ale natomiast drobny aparat filtrujący opatrzono najdokładniejszym opisem — bo wystawcą był Niemiec, traktujący rzecz poważnie.

Są wszakże wyjątki, wyróżniające się wybitnie. Tak np. w osobnym pawilonie znaleźliśmy dział robót wiertniczych inż. Z. Woysława, urządzony na wystawie i prowadzony w Królestwie przez inż. Zygmunta Kotarskiego. Jest tu wszystko, co w tym zakresie zrobiono — cały dorobek naukowy i praktyczny. Mamy więc literaturę z dziedziny wiertnictwa, postępy techniki (instrumenty wiertnicze, udoskonalone systemu inż. Woysława, czarne dyamenty do świdrów), sprawozdania z poszukiwań geologicznych, przecięcia studzien artezyjskich, basztę wiertniczą, obrazowo przedstawiającą roboty, mapę wykazującą wszystkie miejscowości, w których dotychczas na terytoryach państwa rosyjskiego wykonywano te roboty. Szczegóły uzupełnia w każdej chwili żywe słowo specyalisty. Kto wie, jak ważne znaczenie i jak wielką przyszłość ma wiertnictwo dla przemysłu i rolnictwa, ten ocenić może cały pożytek owego działu na wystawie.

Na szczególną uwagę zasługuje osobny pawilon lasów skarbowych. Przedewszystkiem uderza oryginalna forma: front wyobraża olbrzymi pień dębowy (rotunda obłożona korą). Do niego przyczepiona chatka leśna. Wnętrze pnia i chatki połączone z sobą, stanowi pawilon, w którym odrazu owiewa widza jakiś urok poezyi. Jesteśmy w puszczy. Z pod obwisłych gałęzi wysuwa się dzik i biegnie po iglicy, obficie pokrywającej powierzchnię ziemi, obok niego kroczy inny mieszkaniec lasów, borsuk, a dalej — całe bractwo skrzydlate. Tu i owdzie wyglądają melancholijnie głowy jeleni i rogi sarny tchórzliwej. Całe ściany pokryte gałązkami drzew, ułożonemi bardzo gustownie, z prawdziwym smakiem estetycznym. Jest tu sztuka, a jednocześnie odzwierciedlenie przyrody, jest przytem cały obraz bogactwa leśnego i gospodarki umiejętnej, opartej na podstawach nauki. Widzimy tam jaja wszystkich ptaków, grzyby drzewne, wspaniałe polipy i wogóle choroby drzewa, instrumenty i narzędzia, szkółki urządzone w skrzynkach podłużnych niewielkich, ustawionych w kształcie schodów, a przecież dające pojęcie plastyczne o tym dziale gospodarki leśnej. Dalej przekroje drzew, a po za pawilonem całe kłody drzew masztowych. Wszystko daje wyobrażenie, jak są jeszcze wspaniałe i bogate lasy w Królestwie Pol-

skiom, których gospodarka rabunkowa nigdy nie tknęła. Po za tem wszystkiem znaleźliśmy jeszcze księgi z opisem gospodarki leśnej i drzewostanu. Wogóle pawilon powyższy mógłby śmiało się znaleźć na wystawie pierwszorzędnej, powszechnej. Zwykle jednak na wystawach pracuje ręka lub głowa, po za plecami firmy, ukryta jak owe rogi sarnie. Nagrody otrzymuje wystawca. Naszym tedy obowiązkiem jest nagradzać, chociaż tylko słowami uznania, niewidzialnych. Tym razem los nałożył „czapkę - niewidymkę" na p. Kleina, pomocnika leśniczego, który cały pawilon urządził. Tak nas poinformowano.

Dział leśnictwa jest rozrzucony w różnych miejscach po całej wystawie. Między innemi znaleźliśmy tam obraz gospodarki leśnej ks. Macieja Radziwiłła (dobra Staszowskie), dość dokładnie i wzorowo przedstawiony. Na uwagę zasługuje drzewo dotknięte brudnicą-mniszką i zarazem wszystkie fazy rozwoju tego najstraszniejszego w chwili obecnej wroga lasów.

Ogrodnictwo również jak leśnictwo jest rozproszone w różnych zakątkach wystawy. Po długich i mozolnych poszukiwaniach można stworzyć całokształt, który nasuwa nam wniosek, że owocarstwo w gubernii Radomskiej, tak samo, jak w innych okolicach kraju, nie rozrosło się jeszcze do granic przemysłu, nie wyrobiło metod racyonalnych, nosi na sobie przeważnie cechy amatorstwa i po zaspokojeniu osobistych potrzeb wytwórcy, w bardzo małej ilości idzie na rynki, o ile ogrody owocowe nie są w dzierżawach żydowskich.

Oddział zwierząt gospodarskich rozłożył się na wielkiej przestrzeni po za ogrodem Starym i rzeką Mleczną. Wszystko to jednak okazy zbytku. Jest mnóstwo pół-krwi perszeronów, są przedstawiciele rasy angielskiej i anglo-arabskiej, Kalchasy, Prometeusze, Oakhorsty, Kokietki, Emiry, Persanki, ale niema koni roboczych, których brak wielki odczuwa kraj cały. Jest wprawdzie jakaś klacz fornalska, parę roboczych, ale i to tylko jako okazy niezwykłe ze stajni zamożnych. To samo w oborach. Są okazy z rasy nizinnej holenderskiej, wschodnio - fryzyjskiej, Simmenthale, Oldenburgi i zaledwie parę sztuk rasy krajowej. Wogóle mieliśmy sposobność jeszcze raz stwierdzić to znamienne zjawisko, że w oborach naszych panuje ogromny chaos, hodowla na oślep, że przeważa rasa holenderska, bardzo kłopotliwa, wybredna i prędko wyradzająca się w warunkach nieodpowiednich. Owczarnie dość bogate. (Przeważają Negretti). Trzoda chlewna skąpo reprezentowana: zaledwie kilkanaście okazów (rasy angielskiej). Ubogi dział drobiu świadczy, że gospodynie wiejskie traktują go po amatorsku i wcale nie pracują nad stworzeniem osobnej gałęzi przemysłu wiejskiego. Parę kur rasy Brama-Putra lub jawańskiej — to tylko popis.

W dziale rybołówstwa znalazł się zaledwie jeden wystawca (Stef. hr. Przezdzieckì), który nie daje pojęcia o rybołówstwie w gub. Radomskiej. W dziale rakarstwa— tylko jedna broszura p. S. Jastrzębowskiego („Rak i jego hodowla"). Pszczelnictwo i jedwabnictwo to także popisy amatorskie. Śród wystawców przeważają kobiety. W dziale mleczarstwa nie mogliśmy sobie wyrobić dokładnego pojęcia o tej gałęzi produkcyi.

Maszyny i narzędzia rolnicze, których dostarczono obficie (dużo z Warszawy), świadczą, że gospodarstwa wielkie przeważnie posługują się wyrobami zagranicznymi. Produkcya w gub. Radomskiej głównie ma na względzie włościan i kolonistów drobnych; dla których wyrabia przeważnie pługi i sieczkarnie. Trudno nam ocenić wartość tych wyrobów; to tylko zaznaczyć możemy, że są one jeszcze za drogie.

Najokazalszy i najbogatszy jest dział przemysłu wielkiego, głównie górnictwo i hutnictwo, czerpiące swe istnienie z olbrzymich bogactw ziemi. Oprócz rudy żelaznej, widzimy wielką obfitość gliny ogniotrwałej. To też wystawiono najróżnorodniejsze gatunki cegieł. Wogóle dla przemysłu wielkiego gub. Radomska dała bardzo przyjazne warunki, które pozwoliły fabrykantom połączyć gałęzie pomocnicze na usługi głównych. Daje to przemysłowcom możność idealnie taniego wytwarzania i ciągnienia wielkich zysków. Nie wszystko się tam jednak dzieje w myśl patryotyzmu ekonomicznego. Największe ogniska przemysłowe są w rękach cudzoziemców, a chociaż tu i owdzie błyszczy na pawilonach znak hrabiowski, w gruncie rzeczy hrabiowie są tylko firmą, a po za ich plecami stoją rzeczywiści przemysłowcy-Niemcy. Ujęli oni również w swoje ręce garbarstwo i postawili je na wysokim poziomie doskonałości technicznej.

Piwowarstwo miejscowe w ostatnich latach zaczyna coraz bardziej się rozwijać i wywalczać sobie rynki pobliskie.

Wogóle w dziale przemysłu widzimy wielką różnorodność. Niektóre gałęzie świadczą, że jeszcze bardzo wiele bogactw ziemnych w gub. Radomskiej leży prawie nietkniętych, że energia i kapitał mogą tam znaleźć olbrzymie pole działalności. Jest to spory szmat kraju, posiadający wielką przyszłość ekonomiczną. Dziś praca tam jest jeszcze chaotyczna. Obok potężnych i jednolitych ognisk przemysłu usadowiły się drobne, doryweze, które rozwinęły działalność na powierzchni, nie sięgając do głębin zasobnych i nieprzebranych.

(D. n.).

Zen. Piet.

WYSTAWA WILEŃSKA.

Już po raz drugi wystawa dzieł sztuki łączy się w czasie z peryodycznie powtarzającą się wystawą przemysłowo-rolniczą. Nie jest to rzeczą prostego przypadku, lecz ścisłego rachunku, gdyż wystawa rolnicza zwykła ściągać do miasta dużą ilość ziemian, żądnych rozrywki i czegoś nowego.

Jakoż w r. b. zjazd jest niezwykle liczny, a dla zabawienia rzeszy na pomoc wystawie idą wyścigi konne, wyścigi cyklistów, Namysłowski ze swą orkiestrą i kilku innych koncertantów. Osiągnięto tedy bądź dzięki wystawie, bądź też wyścigom powszechnie uznawaną potrzebę zjazdu i to stanowi bodaj najpoważniejszy rezultat działalności wileńskiego Towarzystwa wyścigowego.

Że rezultat ten jest zbyt mały, każdy łatwo zrozumie, a wytłomaczenie zjawiska można odnaleźć na placu Katedralnym, gdzie się odbywa wystawa przemysłowo-rolnicza. Od r. 1885 dziwaczna ta pani, kierowana przez Towarzystwo wyścigowe bez należnego starania i uzdolnienia, przeszła różne okresy i dziś nareszcie wypowiedziała się ostatecznie.

Stała się jarmarkiem. Jarmark to wprawdzie dość ładny, w ogrodzeniu szczelnem, pozwalającem zbierać opłatę od widzów; ludno tu, gwarno i wesoło, a punktem ciężkości jest, jak przystoi, obszerna restauracya. Oczywiście widza nie to nie obchodzi, że taki jarmark jest obsługiwany przez Towarzystwo wyścigowe: zresztą jest to nawet słusznem, iż ono ciągnie stąd zyski dla siebie stałe i stanowiące duży zasiłek w jego istnieniu.

Muzyka przygrywa, w restauracyi tłum huczy od rana do nocy, gromadki publiczności błądzą w poszukiwaniu czegoś ciekawego, jakiś pan z kokardą i sążnistym biczem głośno sprawuje komendę itd. Nie braknie także poważnych niespodzianek dla publiczności: oto cudowna kura, znosząca jaja z cukierkami za opłatą 5 kop. oto manekin-siłomierz, który można policzkować w miarę sił i natchnienia po 5 kop. za dwa uderzenia.

Wobec tego cieszyć się należy, że to już ostatni popis Towarzystwa wyścigowego. Od dwóch miesięcy zatwierdzone Towarzystwo rolnicze w przyszłości obejmie kierownictwo wystawami i poprowadzi je niewątpliwie lepiej, już choćby dlatego, że — gorzej niepodobna.

Cóż znajdujemy godnego uwagi? Bydło doskonałe ogólnie i w ilości pokaźnej. Przeważają obory holenderskie, lecz są także wyborne szwyce, algauery i brejtenburgi. Na wystawkich dziewięciu wystawach dotychczasowych spotkaliśmy hodowców w tym dziale około 50: są to przeważnie właściciele obór zarodowych, opartych na sprzedaży młodziaków. Danych naukowych, jak: tabel mleczności, dobrze prowadzonych ksiąg stadnych i konsekwentnie dokonywanych prób krzyżowania z rasą miejscową — nie widzieliśmy wcale. Stąd wniosek dość smutny, że postępowa hodowla w czterech guberniach (Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej) jest raczej fantazyą ludzi zamożnych, niźli szerzej zrozumianym systemem gospodarki folwarcznej. W r. b. bydła chłopskiego mamy tylko pięć sztuk, a rasę krajową, dobrze utrzymaną, przedstawiła tylko p. Marya Jamontowa.

Koni oglądamy mniej nieco i ogólnie gorsze: p. Korybut-Daszkiewicz dał kilkanaście okazów wyborowych ze swej poważnej stajni i w ten sposób zamknął innym hodowcom drogę do współubiegania się. Podobną stajnię widzieliśmy tylko raz jeden u p. Jeleńskiego, ale obaj ani razu nie stanęli obok siebie. Po za nimi były i są stajnie zbytkowe, dyletanckie, które powstają, to znikają, jak efemerydy, a w nich okazy mniej lub więcej ładne. W r. b. już nie spotkaliśmy na wystawie kupców-dostawców, bo tu dla nich niema towaru.

W poprawnej, lubo rzadkiej hodowli koni włościańskich widzimy jedynie wpływ stacyi ogierów rządowych, wpływ niezupełnie szczęśliwy: na stacyach trzymane są głównie rysaki, trakeny, oldenburgi i suffolki, czyli reproduktory ciężkie, często za ciężkie dla drobnych klaczy włościańskich. Stąd potomstwo o kształtach wadliwych i słabe.

W działach trzody i ptactwa domowego dziwnie mało okazów, co bynajmniej nie usprawiedliwia głośnej sławy wędlin litewskich. Lecz bądźmy spokojni: hodowla się rozwija dość pomyślnie, tylko nie znajduje dla siebie żadnej korzyści w wystawach wileńskich i przestała je zasilać.

To samo można powiedzieć o najpoważniejszych działach produkcyi rolnej i przemysłu rolnego: dobry zbiór zbóż dała tylko ks. Jabłonowska z Rudki (gub. Grod.), nieco słabszy B. hr. Tyszkiewicz z Czerwonego dworu, roślin fabrycznych (przemysłowych) ani śladu, ich przeróbki również. P. Józef Kibort z dom. Stefaniszki-Dubiki wystawił po raz pierwszy siano prasowane z łąk sztucznej i poprawnej uprawy. Produkt ten ma w sobie siłę wyrazu, pokazuje bowiem, że i siano należy w pewnych wypadkach produkować na sprzedaż i że w ten sposób można bardzo korzystnie zużytkować wielkie przestrzenie błot i nieużytków po ich poprzedniem ulepszeniu. Jest to poważny krok naprzód w zerwaniu z rutyną gospodarczą, która zasadniczo nie przyznaje sprzedaży siana i gnoju.

Gospodarkę leśną i rodzaje jej eksploatacyi przedstawiła bardzo dobrze i jedynie ks. Jabłonowska z Rudki. Tak dobrze pojęte zadanie wystawy spotykaliśmy dotąd bardzo rzadko.

Jeśli do powyżej wymienionych dodać jeszcze kilkunastu lepszych rzemieślników wileńskich, którzy starają się wypłynąć na wierzch z ogólnego odmętu tandety żydowskiej, to będzie już — prawie wszystko.

Prawie — bo mamy jeszcze trochę smacznych serów, jedyny okaz dobrych jarzyn suszonych, jedyny okaz wędlin litewskich, miody litewskie i... krymskie wina. Tak, stoi wesoły p. kupiec kolonialny i reklamuje wina krymskie: może ma słuszność, zajmując miejsce w tym oddziale *wyrobów własnych*. Mamy również wcale dobre tkaniny domowego wyrobu, a śród nich ładne i praktyczne wełny, a najlepsze i jedyne wyroby lniane z „Biruty" p. J. Montwiłła. Jest to duży kęs zasługi społecznej, bo właściciel prowadzi ten przemysł jedynie dla zachęcenia włościan najbliższych i ulepszenia ich wyrobów tkackich.

W pawilonie głównym na uboczu widzimy wystawcę odosobnionego i omijanego niby dżumę: łatwo odgadnąć — to bardzo poważnie ułożony i przedstawiony obraz prac wiertniczych na Litwie inżeniera górniczego, p. Morawskiego z Wilna, który tuż obok dał także cenną kolekcyę wykopalisk i próbki ziem przemysłowych.

To już dla nas — za rozumne.

Wystawa wileńska jest jedyną w rzędzie innych z przyczyny, iż tu tylko przedsiębiorca, tj. Towarzystwo wyścigowe daje szereg marnych budynków, a wystawcy wcale nie lub nader mało przykładają się do ozdobienia placu własnemi budowlami.

Zrazu częściej próbowali i dali pokój: urządzacie szopkę z pompą dla własnej kieszeni — pal licho! — lecz pocóż ta ofiarność publiczna? I słusznie — każdy pragnie uniknąć solidarności w celach i środkach.

Współcześnie w Radomiu można oglądać kilkadziesiąt gustownych prywatnych pawilonów — a w Wilnie jeden tylko, fotograficzny p. A. Daukszy.

Naszą wystawę zdobią jeno wspaniałe palmy z cieplarni Wł. hr. T. i ładna kolekcya wypchanych przedstawicieli fauny krajowej A. hr. T. (czyli prezesa i członka komitetu wystawowego).

Po za konkursem dają tło wystawie: skład narzędzi i machin rolniczych pod firmą „Pług" i wyroby koszykarsko-meblowe ze Szlossberga (gub. Kurlandzkiej) i Kruszyny (gub. Piotrkowskiej). Jedyne okazy miejscowego wyrobu narzędzi i machin rolniczych, p. M. Grabowskiego z Leszczanki, zasługują jeno na uwagę z racyi pierwszego występu na polu pracy samodzielnej.

Już na placu wystawy rolniczej dowiadujemy się z nader brzydkiego szyldu o adresie wystawy malarskiej. Ale uprzedzenie wnet znika po wkroczeniu do sal szkoły rysunkowej dla rzemieślników.

Stefan Dąbrowski, artysa malarz z Warszawy, zrobił tu wszystko, co jeno mógł w artystycznym układzie i dobrem uporządkowaniu licznych dzieł sztuki.

Jest więc tu zupełnie dobrze i zasobnie, co nie wyklucza wypadku, że ochocze kółko przedsiębiorców z p. St. Bułharowskim na czele poniesie pewne straty. Bo też są to ludzie bez żadnych zdolności do sztuczek i umiejętnego pompowania. Dali wprawdzie około 400 numerów obrazów, rzeźb i dzieł sztuki stosowanej, niewątpliwie zasięgających na kilkakrotne obejrzenie, lecz nie zdołali wpoić w ogół współczucia dla siebie, jakiem się cieszy Towarzystwo wyścigowe. Z drugiej zaś strony totalizator na wyścigach i restauracye na wystawie rolniczej tak wyczerpią zasoby naszych ziemian, że na kupno dzieł sztuki zbraknie.

Na całość wystawy w ¾ złożyli się artyści zamiejscowi i stawili się licznie a imponująco. Dość powiedzieć, że „Szał" Podkowińskiego tu i owdzie bywa zrozumiany, że w „Zbrodni" Piątkowskiego umiemy dopatrzeć usterek technicznych i słabej charakterystyki bohaterów tragedyi, że czaruje nas pejzaż Gersona, a potępiamy „Kupałę," że nas szturmem zdobywa Maszyński w „Ataku kawaleryi," roztkliwia Alchimowicz, kokietuje Pawliszak, żalem przejmuje Bilińska, a wzywają na zbiorową neztę artystyczną Niewiadomski-Dymitrowicz, Klopfer, Popowski, Dąbrowski i in. Laszczka przysłał pełne wyrazu „Wspomnienie," Pruss-Wiśniewska ładne pastele. Bierkowska i Tracewski poważne kawałki postępu w artyzmie. Pani Kazanowska ze swymi 12 obrazami na sprzedaż w celu utworzenia stypendyum malarskiego źle do nas trafiła — my grosza na takie cele nie damy. My nawet nie kupimy obrazków T. Maleszewskiego, choć te przedewszystkiem kupić należy. P. E. Perle rozpakował się i u nas ze swoim kramikiem i już handel idzie; czyby nie należało na kopiach olejnych dodawać ostrzeżenia, że są to także fotografie, bo i takie dwa obrazki widzieliśmy z firmą autorki i adresem.

„Szept śmierci" Stabrowskiego, to obraz znany dotąd bardzo niewiele. Jest to prześliczny tryptyk, który się czyta duszą i oczyma (lecz dlaczego z prawej strony ku lewej?) Z prześlicznej wioseczki ustronnej zbiegło o zmierzchu wieczornym dziewczę-sierota i, siadłszy nad jeziorem, żali się skargą cichą wspomnieniom matki. — I przychodzi na to wołanie sieroty duch matki i krzepi dziecinę spojrzeniem dobrem i pieściwem. Cóż jeszcze? — Oto wrony, jako symbol nieszczęść sierocych, a tu w końcu — mogiłka na wiejskim cmentarzu, jako jedyna ucieczka. A wszystko to się rozsnuwa na tle przepysznego pejzażu, którym artysta już odrazu stanął na wysokim szczeblu sztuki. Niechże naszej wystawie przysługuje prawo, żeśmy po raz pierwszy dali to dzieło na szerszą widownię własnego społeczeństwa.

Miejscowa kolonia malarska wystąpiła dość pokaźnie pod względem ilości i jakości pod wodzą Ferd. Ruszczyca. I tego mało znacie, a przecież to artysta skończony tak we władaniu techniką, jak odczuciu prawdy i wyborze tematu. Jest to pejzażysta najbardziej swojski, a jego dwa obrazy, „Zamek w Krewie" i „Wieczór wiosenny," bynajmniej nie tracą na bliskiem sąsiedztwie uznanych już sił; drobne zaś szkice wprost czarują widza wdziękiem i kolorytem. Helena Roemerówna, słabsza jako pejzażystka, dała wartościowe studyum „Starzec w kuchni": jest tu prawda życiowa i poprawność rysunku obok doskonałej bryłowatości postaci. Julian Bałzukiewicz, pastuch z duszą i talentem natchnionego artysty, splątany potrzebą zarobku, dał słaby posąg, geniusza, jako pomnik grobowy; lecz w dwa dni wykonał wyborny szkic „Ostatnia obrona Podbipięty" w glinie. Stoi ów rycerz bez zmazy wsparty o drzewo i ruchem spokojnej rezygnacyi zadaje srogie ciosy skowyczącej dziczy tatarskiej.

Należy zapamiętać sobie to nazwisko artysty, ażeby na przyszłość albo przechować w miłej pamięci te chwile jego życia, albo też skopać nogami za sponiewieranie ogromnych sił przyrodzonych. Młody artysta (lat 19) pozyskał środki dla kształcenia się od p. Józefa Montwiłła.

S. Jarocki dał w kilkunastu obrazkach wymowny przebieg swych wysiłków malarskich; zgoda na tę szczerą spowiedź, więc odpowiadamy równie szczerze: należy zaniechać na czas jakiś kompozycyi i robienia obrazów, a wrócić do wytrwałych studyów. Artyście, zdaje się, jest najdostępniejszym pejzaż. Panna Z. Hartung dała dwa pastele i dwie akwarele. F. Jurjewicz sześć szkiców. Hendziński, artysta stary, dobrze znany i lepiej jeszcze stargany przez życie, dał słabe roboty obstalunkowe. Bujko, młody adept sztuki, przedstawił dwa szkice z poczuciem koloru i powietrza odtworzone. Stefan Bohusz-Siestrzeńcewicz (brat znanego malarza) — śliczną „Praczkę" akwarelami i dwa pejzaże. Zofia Pruszyńska wystąpiła z przeciętnemi pracami w zakresie sztuki stosowanej na parawanikach, tekach itp. Zygmunt Packiewicz (czeladnik malarski) uszlachetnia rzemiosło próbami ornamentów dekoracyjnych z natury i klasycznych wzorów. P. Chodkiewicz dostarczył mebli pięknych i ozdobnych.

Wystawa dzieł sztuki przeciągnie się do 27 września n. st.: dziś już przejmuje nas obawa, czy na przyszłość znajdzie się jeszcze grono ludzi, skłonnych do straty niewielkiej i bezinteresownej pracy przygotowania gruntu pod wystawę jak również i dozorowania jej przez cały czas trwania.

Ha! ostatecznie warto nawet rozstrzygać tę sprawę na losy.

Napoleon Rouba.

ZŁOTO.

II.

Spodziewać by się należało, że wobec takich faktów Suess zajmie się rewizyą swoich wywodów. Stało się inaczej. Jeszcze w zimie 1895 r. twierdził on: „Wszystkie teorye nie usuną faktów, które ustanowiła natura. Niech co chcą twierdzą ekonomiści, mężowie stanu, przedstawiciele rządów, ja wnioskuję z pewnością, z jaką przyrodnik zwykł wnioskować z faktów, że waluta złota, z powodu niedostatecznej produkcyi tego kruszcu, nie ostoi się." Przypomina to zjadliwo orzeczenie publicysty niemieckiego, Oppenheima: „Jeżeli w przyrodoznawstwie zostaje ujawniony nowy fakt, zostający w sprzeczności z teoryą, to teorya zostaje obaloną; podajcie zaś socyologom i ekonomistom nowe fakty sprzeczne z ich teoryą, oni — zaprzeczą faktom." Geolog Suess w danym wypadku wolał naśladować ekonomistów.

Jednakże rozejrzyjmy się w ekonomicznych warunkach produkcyi złota. Naprzód co do rozsypisk złotonośnych. Tu przebieg bywa taki: Rozlega się wieść o znalezieniu złotonośnego piasku, w Kalifornii, w Klondyke, Australii lub Afryce. Gorączka zbogacenia się ogarnia tłumy i poszukiwacze złota rzucają się do owych pól. Taki poszukiwacz zaopatruje się jedynie w łopatę, oskard, kubeł do wody, sito, zapas żywności na tydzień lub dwa — jest to cały jego kapitał zakładowy. Szuka on przedewszystkiem brył złotych i dużych ziarn, wszystkie mikroskopijnie małe giną przy pierwotnym sposobie przemywania. Jeżeli natrafia na bardzo obfity w złote ziarna piasek — wzbogaca się, jeżeli nie — zarabia zaledwie na utrzymanie. Utrzymanie zaś to jest bajecznie drogie w takich nowo odkrytych polach. Leżą one zdala od cywilizacyi, dowóz więc żywności jest kosztowny i przekupnie, którzy ciągną za tłumem poszukiwaczów, wyzyskują położenie, ceny wzrastają do ogromnych rozmiarów. Wszczyna się też owa żądza użycia, owe orgie prostacze, tak często opisywane. Wkrótce praca przestaje się opłacać, ziarna złota znikły, a biedni awanturnicy opuszczają pola. Wtedy zaczyna się drugi okres: Piasek zawiera jeszcze złoto, lecz żeby je wydobyć, trzeba cokolwiek więcej skomplikowanych urządzeń: należy sprowadzić wodę rzeki lub strumienia nieraz ze znacznej odległości i urządzić racyonalne przemywanie, przyczem zapomocą rtęci wyławia się drobne ziarenka złote z mułu. Dla takiej eksploatacyi łączą się zwykle poszukiwacze w drobne towarzystwa. Lecz i ten sposób przestaje wydawać rezultaty, a przemywalnie pustoszeją. Jednakże okazuje się nieraz, że w tem samem miejscu znajduje się złoto, lecz na pewnej głębokości w skałach kwarcowych. Wówczas trzeba już kopać sztolnie, usta-

wiać maszyny do kruszenia kamieni i urządzić przemywanie za pomocą kosztownych szluz. W końcu zaczyna się produkcya iście wielkokapitalistyczna. W Kalifornii i Australii dziś złota nie przemywają „sposobem hydraulicznym.“ Na ten cel utworzono w górach wielkie rezerwoary, skąd woda zostaje sprowadzana do dolin; tu wytryskuje ona z systemu rur pod ciśnieniem kilku atmosfer i ten prąd wody zmywa całe stoki gór. Żwir i piasek spływa przez głębokie rowy i rury do szluz, gdzie zostaje przemyty, a za pomocą rtęci wydziela się z mułu złoto. Ażeby je wydobyć z amalgamatu, urządzono specyalne piece.

Pojedynczy poszukiwacz może pierwotnym sposobem przemyć 1,500 kilogramów żwiru i piasku; przy szluzach na jednego robotnika wypada 18,000 klg. przemytego materyału; przy urządzeniu hydraulicznem 850,000 klg. Oczywiście, produkcya prosta może się tylko opłacać, jeżeli zawartość kruszcu w piasku jest bardzo obfita, wielkokapitalistyczna opłaca się jeszcze przy minimalnej zawartości. Jeżeli więc mowa o wyczerpaniu rozsypisk aluwialnych, jest to pojęcie bardzo względne. Porzucone oddawna pola mogą być eksplotowane z chwilą, kiedy znajdzie się odpowiedni kapitał.

Podobnie ma się rzecz z kopalniami. Kopalnie Transwalu np. początkowo były wyzyskiwane w sposób bardzo pierwotny, przez ludzi bez najmniejszej wiedzy technicznej. Prowadzono gospodarkę rabunkową, poszukując tylko t. zw. „gniazd,“ żył z „rodzimem złotem“: częstokroć porzucano sztolnie już przy pojawieniu się znacznej ilości wody, gdyż przedsiębiorcy nie byli w stanie zaprowadzić pomp. Przytem odegrał tu znaczną rolę rozwój techniki metalurgicznej. Złoto pojawia się częstokroć w pirytach, których nie umiano zużytkować i skoro w kopalni natrafiono na piryt, porzucano ją. Od lat kilku te trudności zostały pokonane i dziś pojawienie się pirytów bywa uważane za znak pomyślny, gdyż zawsze występują one w znacznej obfitości, a więc racyonalna eksploatacya jest zapewnioną.

Jak widzimy, zaszła tu w ostatnich czasach zmiana czysto ekonomiczna. Kapitał owładnął produkcyą! Odtąd też poszukiwanie złota przestaje być hazardem, a staje się takim samym przemysłem, opartym na ścisłej rachubie, jakim jest kopalniany wogóle. Adam Smith powiada, że „kto podejmuje się eksploatacyi min złota lub srebra w Peru, bywa przez ludzi rozsądnych uważany za człowieka, któremu grozi niechybne bankructwo. Patrzą tam na ten przemysł, jak na loteryę, przy której wygrane nigdy nie wyrównywają stawkom, chociaż widoki wielkiego losu nęcą zawsze jeszcze hazardowników do trwonienia majątku w tak niepewnych przedsiębiorstwach.“ Dziś tego nie można powiedzieć o kapitalistach, umieszczających kapitały w kopalniach Afryki południowej; ci spekulują na zupełnie pewnych podstawach.

Mimo to „gorączka złota“ grasuje i dziś, a nawet dziś silniej, niż kiedykolwiek; zmieniły się tylko formy. Dawniej tłum oszalałych awanturników rzucał się w pustkowie Kalifornii, Afryki lub Australii, gdzie wśród ciężkich warunków, przy głodzie i chłodzie szukali kruszcu; dziś zdarza się i to jeszcze — np. przy odkryciu pól złotonośnych w Klondyke przed trzema laty — lecz daleko większa liczba ludzi dostaje się pod jarzmo „żółtego niewolnika.“ nie rzucając ognisk penatów domowych. Jednak „wyciąga on poduszkę z pod głów“ tych „zdrowych ludzi“ daleko radykalniej. Mamy na myśli drobnych rentyerów Paryża, graczów londyńskich i niemieckich, spekulujących zajadle na giełdzie przez kupowanie akcyj towarzystw kopalń złota. Ta spekulacya staje się prawdziwą epidemią i pomimo że niejednokrotnie już nastawały okropne „krachy,“ przy których tysiące naiwnych traciło oszczędności, trwa ona dotąd z większem niż kiedykolwiek natężeniem. Warto zastanowić się nad tym objawem (D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

W DALI.

Petersburg. W tych dniach komitet organizacyjny przy petersburskiem Tow. pop. ruskiego przemysłu i handlu opracował w ostatecznej formie i wysłał do zatwierdzenia „regulamin wszechrosyjskiego zjazdu rzemieślniczo-przemysłowego“ w Petersburgu 1900 roku. Wśród wielu spraw, przedstawionych do rozpatrzenia zjazdu, szczególnie wyróżnia się kwestya zmienienia dawno już przestarzałych a pomimo to wciąż jeszcze czynnych praw co do rzemieślników w przemyśle. Na posiedzeniach zjazdu szczególna uwaga będzie zwrócona na sprawę organizacyi taniego kredytu dla rzemieślników i zaliczek na wyroby. Oprócz tego zjazd zajmie się opracowaniem projektu urządzenia giełd rzemieślniczych i wynalezieniem sposobów ułatwiających rzemieślnikom nabywanie surowych materyałów oraz środków ku ulepszeniu wytwórczości i dróg zbytu wyrobów. Na zjeździe podniesiona będzie kwestya „uczniów.“ (Wyświetlenie potrzebnych zmian w istniejących ustawach o uczniach rzemieślniczych i czeladnikach i opracowanie projektu organizacyj naukowych warsztatów rzemieślniczych specyalnych wykładów itd.) Co do uczestników zjazdu, członkami jego mogą być oprócz rzemieślników, majstrowie, majsterki, zapisane do cechu, wybrani prezydenci ogólnych zarządów rzemieślniczych i czeladniczych, jako też i członkowie Tow. popierania przemysłu i handlu, Cesarskiego rosyjsk. Tow. technicznego i jego oddziałów, oraz przedstawiciele zarządów miejskich. Oprócz tego mają być zaproszone na zjazd osoby, które odznaczyły się działalnością swą dla dobra rzemieślników. Otwarcie zjazdu projektowane jest na 28 grudnia 1900 roku.

Lublin. Dnia 9 września zawiązało się w Lublinie Towarzystwo rolnicze. W pierwszej chwili zapisało się do stowarzyszenia 102 uczestników. Zebraniu przewodniczył radca dr. Tadeusz Kowalski z Olbięcina, sekretarzem był adw. przys. Teofil Ciświcki. Do zarządu powołano z wyborów pp. Jana Kleniewskiego, K. Frycza i Teofila Ciświckiego, na zastępców pp. Antoniego Napiorkowskiego, Antoniego Roztworowskiego i Antoniego Swinarskiego. Do komisyi rewizyjnej weszli: pp. Maksymilian Doboski, Tadeusz Kowalski, Eustachy Swieżawski i Edward Chrzanowski.

Płock. Pierwszego dnia wystawy w sali hotelu Europejskiego ziemianie przyjezdni odbyli narady w sprawie założenia spółki rolniczej. Zdania podzieliły się. Jedni byli za spółką, drudzy za Towarzystwem rolniczem. Ostatecznie sprawę poddano głosowaniu, a wynikiem jego było oświadczenie się większości za Towarzystwem rolniczem. Wobec tego zebrani postanowili opracować ustawę Towarzystwa, na wzór już zatwierdzonych: w Lublinie, Siedlcach i Kielcach.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum zatwierdziło ustawę kijowskiej kasy oszczędnościowo-emerytalnej dla pracowników rolnych.

— Z mocy rozporządzenia ministra wojny, ogłoszonego w nr. 185 *Prawit. Wiest.*, w r. b. powołanych będzie do służby wojskowej w całem państwie 291,100 osób. Z liczby tej przypada na gubernię Warszawską 4,442, Kaliską 2,696, Kielecką 2,125, Łomżyńską 1,721, Lubelską 3,101, Piotrkowską 3,149, Płocką 1,735, Radomską 2,225, Suwalską 1,932 i Siedlecką 2,176 popisowych, czyli razem z gub. Królestwa Polskiego 25,362 młodzieńców.

Szkoły. Rektorem uniwersytetu warszawskiego, po p. Zengrze, mianowany p. Uljanow, profesor zwyczajny tegoż uniwersytetu.

— Profesor uniwersytetu moskiewskiego, p. Ticho, mianowany rektorem tegoż uniwersytetu.

Studenci. Wobec ściśle oznaczonej przez p. ministra oświaty liczby studentów na kursie I uniwersytetu warszawskiego, rektor podał do wiadomości, że przejście z wydziału na wydział, zaczynając od bieżącego roku akademickiego, będzie dozwolone jedynie w tym razie, jeżeli to nie wpłynie na przekroczenie oznaczonej normy studentów, w przeciwnym razie będą zmuszeni szukać miejsc w innych uniwersytetach. Według normy, zatwierdzonej przez p. ministra oświaty, na kurs I wydziału prawnego może być przyjętych najwyżej 150 studentów, na wydział medycyny — 100, na wydziale zaś fizyczno-matematycznym 100, tj. 60 może uczęszczać na matematykę i 40 na przyrodę.

— *Warsz. Dn.* pisze: „Zgodnie z okólnikiem ministra oświaty, ogłoszonym w nr. 149 *Praw. Wiestn.* w sprawie przyjmowania do zakładów naukowych wychowańców, wydalonych za udział w zaburzeniach na wiosnę r. b., wszyscy podzieleni będą na trzy kategorye: 1) mających wstęp do wyższych zakładów naukowych w sierpniu r. b.; 2) nie mających wstępu do żadnego zakładu naukowego i 3) mających wstęp do zakładów naukowych w styczniu, maju i sierpniu 1900 r. Zgodnie z takim podziałem i na zasadzie obowiązującej ustawy o powinności wojskowej, minister spraw wewnętrznych po porozumieniu z ministeryum wojny, uznał za niezbędne wyjaśnić co następuje: 1) osoby pierwszej kategoryi, którym było dane w ogólnym porządku odroczenie co do powinności wojskowej, celem ukończenia wykształcenia do 27 roku życia, zachowują prawo do korzystania nadal z tego odroczenia, ci zaś, którzy jeszcze nie byli powoływani do powinności wojskowej i dlatego nie mogli korzystać ze wspomnianego odroczenia, mają prawo do niego: ci, którzy nie zdążyli ukończyć wykształcenia w czasie udzielonej im zwłoki, mogą starać się o dodatkowe odroczenie, celem ukończenia całkowitego kursu nauk (okólnik ministra spraw wewnętrznych z d. 23 października 1885 r. nr. 28). Niepodlegający przyjęciu do żadnego zakładu naukowego, mają stawić się do powinności wojskowej na ogólnej zasadzie, z zachowaniem ogólnych przepisów ustawy o powinności wojskowej. Co się tyczy wydalonych z wyższych zakładów naukowych, którzy mają być przyjęci do tych zakładów w styczniu, to jest po ukończeniu najbliższego poboru, będzie wydane osobne rozporządzenie.“

Prasa. W jesieni zacznie wychodzić w Petersburgu nowa gazeta, *Siewiernyj Kuryer*. Wydawcą jest książę B. Borjatyński.

Z sądu. Sąd okręgowy piotrkowski skazał redaktora *Rozwoju* p. Wiktora Czajewskiego, oskarżonego o naruszenie ustawy cenzuralnej, z artykułu 1,209 kodeksu karnego, na 3 ruble kary pieniężnej.

Koleje i komunikacye. W Żytomierzu oddano do użytku publicznego tramwaje elektryczne.

Wystawy i zjazdy. W Krakowie zamknięto zjazd techników polskich.

— W Petersburgu zwołany będzie zjazd elektrotechników. Program tymczasowy obejmuje: 1) ujednostajnienie przepisów dla instalacyj elektrycznych; 2) zbadanie przyczyn słabego rozwoju przemysłu elektrotechnicznego w państwie i obmyślenie środków, któreby usunęły te przyczyny; 3) ustalenie pożądanych typów średnich i niższych szkół elektrotechnicznych i obmyślenie funduszów na zakładanie szkół takich; 4) wyjaśnienie sprawy dopuszczania na służbę w Rosyi elektrotechników zagranicznych i 5) oznaczenie cenzusu naukowego, jakiego należałoby wymagać od osób, zaprowadzających urządzenie elektryczne.

Przemysł i handel. Władza zatwierdziła ustawę spółki rolniczej w Kaliszu.

Zmarli. Arkadyusz Mucharski, zdolny humorysta-rysownik, w Warszawie.

— Karolina Světlá, utalentowana autorka czeska.

— Henryk Elsenberg, publicysta i prawnik polski, umarł w Nauheim.

Jowan Risticz, serbski mąż stanu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Варшава, 3 [illegible] 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.